



MORGAN RICE

KSIĘGA PIERWSZA CYKLU RZĘDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA

Rządy Miecza

Morgan Rice

**Marsz Przetrwania: Księga
1 Cyklu Rządy Miecza**

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Marsz Przetrwania: Księga 1 Cyklu Rządy Miecza / M. Rice —
«Lukeman Literary Management Ltd», — (Rządy Miecza)

Nowa, wciągająca seria powieści fantasy autorstwa Morgan Rice, autorki bestsellerowego KREĞU CZARNOKSIEŻNIKA. MARSZ PRZETRWANIA (księga 1 cyklu Rządy Miecza) opowiada epicką historię dorastania siedemnastoletniego pochodzącego z ludu Royce'a, który przez swe wyjątkowe talenty w boju czuje, że różni się od pozostałych chłopców w wiosce. Drzemie w nim siła, której nie rozumie i kryje się przeznaczenie, któremu chłopak lęka się stawić czoła. W dniu, w którym ma poślubić swą jedyną miłość, Genevieve, ktoś porywa jego oblubienicę. Royce postanawia rzucić wszystko na szalę i zmierzyć się z możnowładcami, którzy ją zabrali, by ocalić swą ukochaną. Gdy ponosi porażkę, zostaje zesłany na okrytą złą sławą Czarną Wyspę – nieurodzajne miejsce, które przekształca chłopców w mężczyzn. Wygnany z ojczyzny Royce jest poddawany próbom, o jakich nawet mu się nie śniło, gdy wojownicy uczą go, jak przeżyć w Dołach – brutalnej rozrywce w Królestwie. Tymczasem Genevieve, rozpaczliwie wyczekująca powrotu Royce'a, zmuszona jest poruszać się po pełnym okrucieństwa i przebiegłości świecie możnowładców, którym gardzi. Gdy moc Royce'a staje się potężniejsza i chłopak poznaje sekret pochodzenia swego ojca, pojmuję, że być może jego przeznaczenie jest wspanialsze, niż sądził. Zaczyna się zastanawiać nad najbardziej przerażającym pytaniem z możliwych: kim jest? MARSZ PRZETRWANIA opowiada o przyjaciotach i kochankach, rycerzach i honorze, o zdradzie, przeznaczeniu i miłości. Jest to opowieść o męstwie wciągająca w świat, w którym się zakochamy. Przemówi do każdej grupy wiekowej i płci. Dostępna do pobrania jest także powieść WYPRAWA BOHATERÓW autorstwa Morgan Rice, pierwsza księga siedemnastotomowego cyklu KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA – numer 1 na liście bestsellerów i ponad tysiąc pięciogwiazdkowych opinii na Amazon – możesz ją pobrać bezpłatnie!

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

CZEŚĆ PIERWSZA	14
ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	18
ROZDZIAŁ TRZECI	21
CZEŚĆ DRUGA	27
ROZDZIAŁ CZWARTY	27
ROZDZIAŁ PIĄTY	32
Конец ознакомительного фрагмента.	40

Morgan Rice

MARSZ PRZETRWANIA

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„Jeśli po zakończeniu cyklu KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA uznałeś, że nie warto już żyć, nie masz racji. POWROTEM SMOKÓW Morgan Rice rozpoczyna coś, co zapowiada się na kolejną fantastyczną serię powieści, prowadzących w świat fantasy zamieszkanym przez trolle i smoki. Jest to opowieść o męstwie, honorze, odwadze, magii i wierze w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku... To powieść, która powinna się znaleźć w bibliotece każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy.”

—*Books and Movie Reviews*

Roberto Mattos

“Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl DZIEDZICTWO Christophera Paoliniego... Fani powieści młodzieżowych pochłoną najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne.”

—*The Wanderer, A Literary Journal* (w odniesieniu do *Powrotu smoków*)

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa bohaterów* opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

— *Midwest Book Review* (D. Donovan, eBook Reviewer)

„KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która

przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

– *Books and Movie Reviews*, Roberto Mattos

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krąg Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA (CZEŚĆ 1)

O KORONIE I CHWALE

NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA, KRÓLOWA (CZEŚĆ 1)

ZŁOCZYŃCA, WIEŻNIARKA, KRÓLEWNA (CZEŚĆ 2)

RYCERZ, DZIEDZIC, KSIAŻĘ (CZEŚĆ 3)

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)

NOC ŚMIAŁKÓW (CZEŚĆ #6)

KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBIE ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

TRYLOGIA O PRZETRWANIU

ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (CZEŚĆ 1)

ARENA DWA (CZEŚĆ 2)

WAMPIRY, UPADŁA

PRZED ŚWITEM (CZEŚĆ 1)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZAREČZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

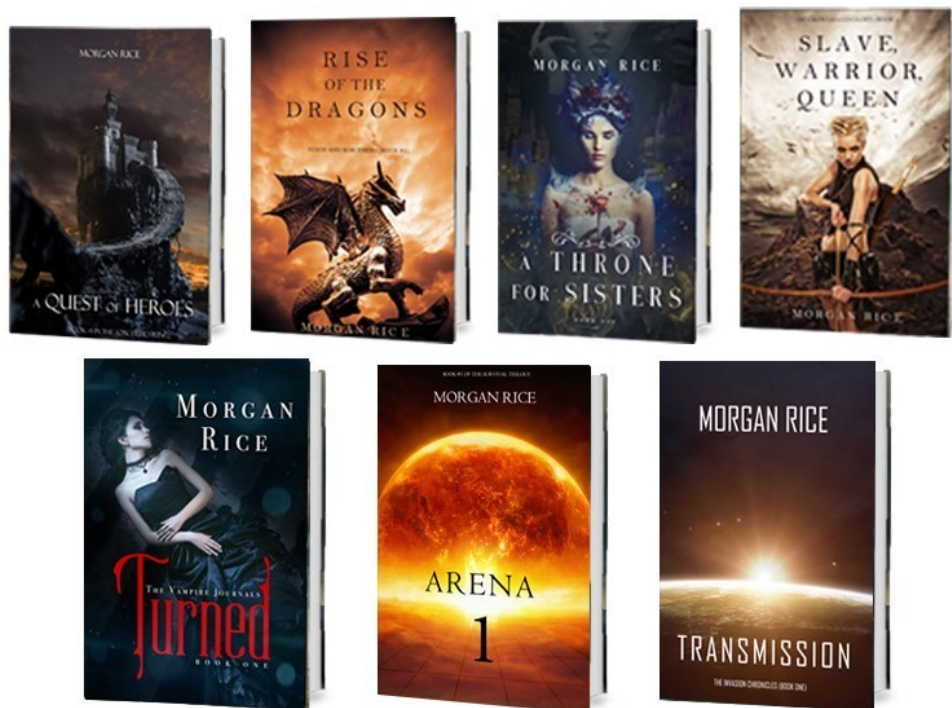
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

OPĘTANA (CZEŚĆ 12)

Czy wiesz, że napisałam wiele serii powieści? Jeśli jeszcze ich nie czytałeś, kliknij na obrazek poniżej, żeby pobrać pierwsze książki kilku z nich!



Chcesz darmowe książki?

Dopisz się do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz bezpłatnie 4 książki, 3 mapy, 1 aplikację, 1 grę, 1 powieść graficzną i ekskluzywne upominki! Aby do niej dołączyć, odwiedź stronę:

www.morganricebooks.com

Copyright © 2018 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

*Ustyszałem słowo pańskie, Pan rzekł mi: „Nim stworzyłem cię w łonie
znałem cię, nim się narodziłeś, wyróżniłem cię, prorokiem narodów uczyniłem
cię”.*

*Lecz ja odpowiedziałem: „Niestety, Panie, nie potrafię mówić, jestem
tylko młodzieńcem”.*

*Pan zaś odrzekł: „Nie mów, że jesteś tylko młodzieńcem. Gdziekolwiek
cię poślę, tam pójdziesz i cokolwiek polecę, powiesz. Nie lękaj się ich, albowiem
jestem z tobą i chronię cię”.*

Księga Jeremiasza 1,4-7

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zlana potem Rea podniosła się na swym prostym pośłaniu, zbudzona krzykami, które rozdzierały noc. Serce tłukło jej się w piersi, gdy siedziała tak w ciemności z nadzieją, że to nic takiego, że to tylko jeszcze jeden z koszmarów, które ją dręczyły. Schwyciła się skraju taniego, słomianego materaca i nasłuchiwała, modląc się, by zaległa cisza.

Rozległ się jednak kolejny krzyk i Rea wzdrygnęła się.

I kolejny.

Dały się słyszeć coraz częściej – i bliżej.

Sparaliżowana strachem dziewczyna siedziała i nasłuchiwała, jak się zbliżają. Przez głośny szum ulewnego deszczu przebijał się także tętent końskich kopyt, wpięty cichy, a po nim charakterystyczny odgłos dobywanych mieczy. Żaden z nich nie był jednak głośniejszy niż krzyki.

Wtem rozległ się inny dźwięk, który – jeśli to możliwe – był gorszy jeszcze: trzaskanie płomieni. Rei serce zamarło, gdyż zrozumiała, że podkładają ogień pod jej osadę. Mogło to znaczyć tylko jedno: nadjechali możnowładcy.

Rea wyskoczyła z pośłania, uderzając kolaniem w ruszt nad paleniskiem, swą jedyną własność w prostej jednoizbowej chacie, i wybiegła na zewnątrz. Wypadła na błotnistą ulicę, w ciepły wiosenny deszcz. Ulewa natychmiast przemoczyła ją do suchej nitki. Nie dbała jednak o to. Zamrugła, patrząc w ciemność, wciąż próbując otrząsnąć się z kosmaru. Wokoło niej otwierały się okiennice i drzwi i mieszkańcy wychodzili niepewnie ze swych chat. Zatrzymywali się i patrzyli w krętą drogę biegnącą do osady. Rea także utkwiała w niej spojrzenie i w oddali dostrzegła łunę. Serce jej zamarło. Rozprzestrzenił się tam ogień.

Życie tutaj, w najuboższej części osady, skrytej za krętymi labiryntami, które wiły się od głównego placu, w chwilach takich jak te było błogosławieństwem: tutaj przynajmniej będzie bezpieczna. Nikt nigdy nie zapuszczał się w te okolice, w najuboższą część osady, do rozpadających się chat, w których żyli jedynie słudzy, a panujący na ulicach odór odstręczał ludzi. Rea zawsze miała wrażenie, że to getto, z którego nie może się wydostać.

Jednak patrząc na płomienie wspinające się coraz wyżej w mroku nocy, po raz pierwszy odczuła ulgę, że mieszka na obrzeżach, skryta. Możliwość nigdy nie będą kłopotać się, by przebyć labirynt uliczek i bocznych alejek, które prowadzą w to miejsce. Tutaj wszak nie było czego grabić.

Rea wiedziała, że to właśnie dlatego jej ubodzy sąsiedzi jedynie stali przed swymi chatami, nie panikując, a tylko przypatrując się. Dlatego także żaden z nich nie biegł, by przyjść z pomocą mieszkańcom głównej części osady, temu możnemu państwu, którzy patrzyli na nich z góry całe ich życie. Nic nie byli im winni. Biedacy byli przynajmniej bezpieczni tutaj i nie zamierzali ryzykować życia dla tych, którzy traktowali ich jakby byli niczym.

Jednak gdy wpatrywała się tak w noc, Reę zbiło z tropu to, że pożoga zbliża się do nich, że noc rozjaśnia się coraz bardziej. Łuna wyraźnie się rozprzestrzeniała, pełzając ku niej. Zamrugła, zastanawiając się, czy jej oczy nie zawodzą. To nie miało najmniejszego sensu: łupieżcy zdawali się zmierzać w jej stronę.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze – była tego pewna – i Rea wzdrygnęła się, gdy nagle płomienie buchnęły ledwie sto stóp przed nią, wyłaniając się z labiryntu uliczek. Stała w bezruchu, oszołomiona: zmierzali w tę stronę. Ale dlaczego?

Ledwie to pomyślała, a rozpędzony koń wpadł z hukiem na plac, ujeżdżany przez groźnego rycerza odzianego w czarną zbroję. Zastłone hełmu miał opuszczoną, a sam hełm nasunięty mocno na głowę. Z halabardą w dłoni zdawał się być posłańcem śmierci.

Ledwie wpadł na plac, a już zamachnął się nią na plecy korpulentnego starca, który próbował uciec. Mężczyzna nie zdążył nawet krzyknąć, gdy halabarda odcięła mu głowę.

Błyskawica przecięła nieboskłon i przetoczył się po nim grzmot, a deszcz zaczął mocniej, gdy tuzin rycerzy wpadł na plac. Jeden z nich niósł sztandar, który połyskiwał w blasku pochodni, lecz Rea nie mogła dojrzeć insygniów.

Nastał chaos. Spanikowani wieśniacy odwrócili się i zaczęli uciekać, krzycząc – niektórzy, kierowani jakimś dawnym instynktem, wbiegali z powrotem do swych chat, ślizgając się na błocie, a kilku rzuciło się w boczne uliczki. Jednak nawet oni nie zdolali odbiec daleko, nim lecące włócznie utkwiły w ich plecach. Rea wiedziała, że śmierć nie oszczędzi tej nocy nikogo.

Dziewczyna nie próbowała uciekać. Ze spokojem dała jedynie krok w tył i sięgnęła za drzwi swej chaty, skąd dobytego miecza, długiego miecza, który podarowano jej wieki temu. Był to piękny oręż. Odgłos, jaki wydał, gdy wyciągała go z pochwy, przyprawił ją o szybsze bicie serca. Był istnym dziełem sztuki i Rea nie miała prawa być w posiadaniu tej broni, którą przekazał jej ojciec. Nie wiedziała nawet, jak trafiła w jego ręce.

Rea wyszła na środek placu wolnym, pewnym krokiem, jako jedyna spośród mieszkańców osady wystarczająco odważna, by się bronić, by stawić czoła tym mężczyznom. Ona, wątła siedemnastoletnia dziewczyna, jako jedyna znalazła w sobie odwagę, by w obliczu strachu stanąć do walki. Nie wiedziała, skąd się brała. Pragnęła uciec, lecz coś w głębi duszy nie pozwalało jej na to. Coś wewnątrz niej zawsze nakazywało jej, by stawiała czoła swym lękom, bez względu na to, jak niewielkie miała szanse na zwycięstwo. Owszem, czuła strach. Po prostu coś głęboko wewnątrz niej pozwalało jej działać w jego obliczu. Zmuszało ją, by była silniejsza od strachu.

Rea stała z drżącymi dłońmi, lecz zmusiła się, by się skupić. Gdy pierwszy koń zbliżał się galopem w jej stronę, uniosła miecz, dała krok w przód, pochyliła się nisko i odrąbała mu nogi.

Uczyniła to, okaleczyła to piękne zwierzę, z bólem serca – spędziła jednak większość życia, dbając o konie. Mężczyzna uniosł jednak włócznie i dziewczyna wiedziała, że stawka jest jej życie.

Koń zarżał przeraźliwie i Rea wiedziała, że tego dźwięku nie zapomni przez resztę swych dni. Zwierzę upadło, uderzając pyskiem o ziemię i zrzucając jeźdźcę. Rozpędzone konie wbiegły w niego, potykając się i upadając jeden na drugiego.

Rea obróciła się przodem do nich w obłoku kurzu i chaosie, gotowa zginąć.

Raptem jeden z rycerzy – w białej zbroi, dosiadający białego rumaka – który różnił się od pozostałych, ruszył prosto na nią. Uniosła miecz, by zadać kolejny cios, lecz ten rycerz był zbyt szybki. Poruszał się jak błyskawica. Ledwie uniosła miecz, a mężczyzna zamachnął się halabardą łukiem od dołu i wytrącił jej broń z rąk. Poczuli się bezradni, gdy pozbawiono ją jej cennej broni, która poszybowała wysokim łukiem i upadła w błoto po drugiej stronie placu. Równie dobrze mogła upaść milion mil dalej.

Rea stała w bezruchu i z oszołomieniem zdała sobie sprawę, że jest bezbronna, lecz nade wszystko skołowana. Cios rycerza nie miał jej zabić. *Dlaczego?*

Nim zdołała dokończyć tę myśl, rycerz nie zatrzymując się ani na chwilę nachylił się nisko i chwycił ją. Rea poczuła, jak metalowa rękawica wgniata się w jej pierś, gdy obiema rękami schwycił ją za koszulę i szybkim ruchem dźwignął na konia przed siebie. Krzyknęła, zaskoczona, opadając na twardy grzbiet poruszającego się wierzchowca. Rycerz usadowił ją przed sobą. Jego metalowe ramiona opłotły ją i trzymały mocno. Nie zdążyła nawet pomyśleć i nie mogła oddychać, gdyż mężczyzna trzymał ją niby w imadle. Rea szarpała się, wyrywając to na prawo, to na lewo, lecz na nic się to nie zdało. Mężczyzna był zbyt silny.

– Przestań się szamotać – nakazał. – Usiłuję ocalić ci życie.

Rea nie była pewna, czy mu wierzy, ale mimo tego uspokoiła się. Galopowali dalej, przecinając osadę, krętymi uliczkami oddalając się od jej chaty. Zbliżył się do nich inny spośród rycerzy, a wtedy mężczyzna uniosł miecz.

– Ona należy do mnie – warknął ten, który ją pojmał, a drugi cofnął się.

- Nie należę do ciebie – odparła Rea, czując, jak narasta w niej lęk. – Nie należę do nikogo.
– Wiejskie dziewczki dają w kość, co? – zarechotał drugi rycerz.

Ten, który porwał Reę, nic nie odrzekł. Wypadli z osady w pole i nagle wszystko ucichło. Oddalali się coraz bardziej od chaosu, od grabieży, krzyków, a Rea nie potrafiła wyzbyć się poczucia winy, że odczuwa chwilową ulgę, gdy wokół zapanował znów spokój. Uważała, że powinna była zginąć tam, wraz ze swymi ziomkami. Lecz gdy mężczyzna trzymał ją coraz bliżej i bliżej siebie, zrozumiała, że być może czeka ją jeszcze gorszy los.

- Proszę – rzekła cicho, z trudem wypowiadając to słowo.

Mężczyzna jednak zacieśnił tylko uścisk i pogalopował szybciej przez łąkę, przez wznoszące się i opadające wzgórza, w ulewnym deszczu, aż znaleźli się w miejscu, w którym panowała całkowita cisza. Było tu osobiwie, tak cicho i spokojnie, jak gdyby na całym świecie nie działo się nic złego.

Rycerz zatrzymał się wreszcie na rozległej polanie na wzgórzu, pod przedwiecznym drzewem, drzewem, które natychmiast rozpoznała. Siadywała pod nim wiele razy.

Mężczyzna zeskoczył z rumaka szybkim ruchem, nie puszczając jej i ściągając ją ze sobą. Upadli w mokrą trawę i potoczyli się po ziemi, a Rea poczuła, że brak jej tchu, gdy wyczuła obok siebie jego ciało. Spostrzegła, że gdy spadali, mężczyzna mógł upaść na nią i naprawdę ją skrzywdzić, lecz zdecydował się tego nie robić. Upadł w taki sposób, by złagodzić jej upadek.

- Kim jesteś? – zapytała Rea. – Czego ode mnie chcesz?

– Nie zdołałabyś tego pojąć – odrzekł rycerz, siadając. Rea nie widziała jego twarzy, przysłaniała ją biała zasłona hełmu, przez szpary której dostrzegała jedynie fiołkowe oczy o silnym spojrzeniu. Na jego rumaku dostrzegła ten sam proporzec, co wcześniej i tym razem przyjrzała się uważnie insygniom: dwa węże, otoczone złotym kręgiem, oplatały księżyc, a pomiędzy nimi tkwił sztylet.

Rycerz wyciągnął rękę i nachylił się ku niej, a Rea szarpnęła się i uderzyła pięściami w jego zbroję. Na nic się to jednak nie zdało. Słabymi, niedużymi dłońmi uderzała o metalową zbroję. Równie dobrze mogłaby bić w głaz.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić – rzekł mężczyzna. – Nie zamierzam uczynić nic, chyba że tego pragniesz.

Rea pojęła, co miał na myśli i zamarła. Miała siedemnaście lat. Oszczędzała się dla idealnego mężczyzny. Nie sądziła, że stanie się to w taki sposób. Ale czy na pewno? We wspomnieniach powrócił do niej sen, ten, z którego została zbudzona, który śniła od wielu księżyców. Widziała to miejsce. To drzewo, tę trawę, tę polanę. Tę burzę. Tego mężczyznę.

Jakimś sposobem przewidziała to i uzmysłowiła sobie, że to na niego czekała.

– Ja także śniłem o tobie – powiedział rycerz. – Śniłem, że jesteś w opresji i o tym, co powstanie, gdy połączymy się tutaj, w tym miejscu. Gdybyś pozostała z resztą, zginęłabyś, i nie miałyby znaczenia to, jak odważna jesteś. Tutaj możemy dać początek czemuś nowemu, jeśli tego chcesz.

Rea pamiętała swoje sny o tym mężczyźnie i to, jaki w nich był. Myśl o nich wystarczyła, by wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Tak – wyszeptała, zagłuszając szum deszczu.

Jego ręce powędrowały do jej sukni i rycerz pchnął ją na ziemię pod drzewem. Rea nigdy nie była z żadnym mężczyzną, ale widziała, jak zachowują się zwierzęta w osadzie. W tym nie było jednak nic zwierzęcego. Leżący na niej mężczyzna zdjął jedynie te części zbroi, które musiał, nie ukazał jej nawet swej twarzy, lecz mimo tego jego dotyk był delikatny i gdy nadszedł ten moment, Rea chwyciła się go mocno.

Wszystko dobiegło końca zbyt szybko i Rea leżała na trawie, niezupełnie wiedząc, co teraz uczynić. Usłyszała brzęk metalu, gdy rycerz przywdziewał ponownie zbroję. Zbliżył się do niej, wyciągając coś w rękę, i wcisnął to w jej dłoń.

Zmrużyła oczy w deszczu i ku swemu zaskoczeniu spostrzegła, że mężczyzna umieścił w jej dłoni złoty naszyjnik z zawieszonym na nim wisiosem – dwoma węzami owiniętymi dokoła księżyca, pomiędzy którymi stał sztylet.

– Nie jestem dziwką, której należy się zapłata – warknęła dziewczyna.

– Gdy on przyjdzie na świat – odparł. – daj mu to. I poślij go do mnie.

Podniosła na niego wzrok.

– Opuszczasz mnie, prawda? – zapytała. – Opuszczasz, tak po prostu.

– Tu będziesz bezpieczna – odrzekł. – A jeśli moja nieobecność się wydłuży, zaczną mnie szukać. Będzie lepiej, jeśli odjadę.

– Lepiej dla kogo? – odparowała Rea.

Przez szum deszczu usłyszała, jak rycerz dosiada swego wierzchowca i niejasno zdała sobie sprawę z tego, że odjeżdża.

Dziewczynie zaczęły ciążyć powieki. Była zbyt wyczerpana, by się poruszyć, gdy leżała tak w deszczu. Serce jej pękło. Poczuła, jak nadchodzi niosący ukojenie sen i oddała się w jego objęcia. Może teraz przynajmniej nękające ją sny ustaną.

Zanim pozwoliła, by ogarnął ją sen, spojrzała na naszyjnik, na symbol. Zaciśnęła dłoń, czując w niej łańcuszek. Był wykonany z grubego złota, tak grubego, że wykarmiłby jej osadę do końca życia.

Dlaczego jej go ofiarował? Dlaczego nie pozostawił jej na śmierć?

On, rzekł wcześniej mężczyzna. Nie chodziło o nią. Rea wiedziała, że będzie przy nadziei. I wiedziała, że wyda na świat chłopca.

Jakim sposobem?

Nagle, nim ogarnął ją błogi sen, wszystko jej się przypomniało. Ostatnia część jej snu.

Chłopiec. Wydała na świat chłopca. Zrodzonego z nocy pełnej furii i przemocy.

Chłopca, któremu przeznaczone będzie zostać królem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzy księżycy później

Rea stała samotnie na leśnej polanie, oszołomiona, zatracona w swym własnym świecie. Nie słyszała plusku strumyczka płynącego leniwie obok jej stóp, nie słyszała ptasiego świergotu w gęstwinie leśnej wokoło, nie dostrzegała promieni słońca przedzierających się przez gałęzie ani przyglądającego się jej z niedaleka stada jeleni. Wszystko wokoło zniknęło, a dziewczyna patrzyła tylko na jedno: żyłki liścia ukandy, który trzymała w drżących palcach. Odjęła dłoń od szerokiego, zielonego liścia, którego żyłki – ku jej przerażeniu – z wolna zmieniły barwę z zielonej na białą.

Patrząc na tę zmianę barw czuła się, jak gdyby ktoś wbił jej sztylet prosto w serce.

Ukanda zmieniała kolor tylko wtedy, gdy osoba, która go dotykała, była przy nadziei.

Rei zawirowało w głowie. Straciła wszelkie poczucie czasu i miejsca, stojąc w bezruchu. Słyszała bicie własnego serca i dłonie jej drżały. Powróciła myślami do tej brzemiennej w skutki nocy trzy księżycy temu, gdy jej osada została złupiona i zabito zbyt wielu jej ziomków, by mogła ich zliczyć. Gdy *on* ją posiadł. Położyła dłoń na brzuchu i przesunęła po nim, wyczuwając niewielką wypukłość, czując kolejną falę mdłości. Wreszcie poznała ich powód. Uniosła rękę i wyczuła pod palcami złoty naszyjnik, który – rzecz oczywista – skrywała głęboko pod odzieniem, tak, by inni go nie spostrzegli, i po raz kolejny rozmyślała nad tym, kim był tamten rycerz.

Choć starała się jak tylko mogła o nich zapomnieć, jego ostatnie słowa raz za razem rozbrzmiewały w jej głowie.

Poślij go do mnie.

Za plecami Rei rozległ się nagły szelest, a gdy dziewczyna obróciła się, zaskoczona, ujrzała świdrujące ją oczy Prudence, swej sąsiadki. Prudence – wścibska czternastoletnia dziewczyna, która straciła swą rodzinę podczas ataku, która zawsze nad wyraz chętnie rozprawiała o innych – była ostatnią osobą, którą Rea chciała, by wiedziała o jej nowinach. Rea patrzyła przerażona, jak spojrzenie Prudence wędruje z jej dłoni na zmieniający barwę liść, a następnie jej oczy rozszerzają, gdy dziewczyna domyśliła się prawdy.

Obrzuciwszy ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty Prudence rzuciła kosz, odwróciła się i puściła biegiem przed siebie. Rea wiedziała, że może to oznaczać tylko jedno: zamierzała donieść mieszkańcom osady.

Serce jej zamarło i poczuła pierwsze uderzenie strachu. Wieśniacy, rzecz oczywista, zażądają, by zabiła swe dziecko. Nie chcieli, by cokolwiek przypominało im o najeździe możnowładców. Dlaczego jednak wzbudzało to w niej strach? Czy naprawdę pragnęła urodzić to dziecko, efekt uboczny tej pełnej udręki nocy?

Strach Rei zaskoczył ją i gdy zastanowiła się nad tym, zrozumiała, że to strach o bezpieczeństwo jej dziecięcia. Zdumiało ją to bez miary. Umysł podpowiadał, że nie chciała go wydać na świat; postawiłaby w ten sposób swą osadę w niebezpieczeństwie. Ośmieliłoby to jedynie możnowładców, którzy najechali ich wieś. A pozbyć się dziecięcia byłoby tak łatwo – musiałyby jedynie przeżuć korzeń jukaby i podczas kolejnej kąpieli dziecko zmarłoby.

Czuła je jednak w sobie, a jej ciało mówiło jej coś, o czym milczał umysł: pragnęła je zatrzymać. Chronić je. Było to wszak dziecko, a do tego obiecała jej w jej snach.

Rea, jedynaczka, która nigdy nie poznała swych rodziców, która cierpiała w świecie, w którym nikogo nie kochała i w którym nikt nie kochał jej, zawsze rozpaczliwie pragnęła kogoś kochać i by ktoś odwzajemnił to uczucie. Miała dosyć bycia samą, życia w odosobnieniu w najuboższej części wsi, szorowania brudu za zapłatę, która starczała jej tylko na przeżycie, harowania od rana do nocy bez możliwości zmiany. Wiedziała, że przez to, kim była, nigdy nie znajdzie mężczyzny. A przynajmniej

takiego, którym by nie gardziła. Najpewniej nigdy nie będzie miała dziecięcia, poza tym, które nosiła teraz w sobie.

Rea poczuła nagłą tęsknotę. Pojęła, że to może być jej jedyna szansa. A teraz, gdy była przy nadziei, zorientowała się, jak bardzo pragnęła tego dziecka. Pragnęła go nade wszystko.

Rea wyruszyła z powrotem w stronę osady, podenerwowana, ogarnięta sprzecznymi emocjami, niegotowa stawić czoła dezaprobaty, z którą – jak wiedziała – się spotka. Wieśniacy będą upierać się, by w osadzie nie przetrwał żaden ślad po łupieżcach, po tych, którzy odebrali im wszystko. Nie pojęliby, że w przypadku tego mężczyzny wszystko wyglądało inaczej, że jej bronił. Rea nie miała im tego za złe – zapładnianie kobiet, by dominować i kontrolować osady w królestwie, było częstą taktyką łupieżców. Czasem nawet posyłali później po dziecko. Posiadanie go jedynie napędzało ich krąg przemocy.

To wszystko nie zmieniało jednak tego, co czuła. Nosiła w sobie życie. Czuła je przy każdym kroku i czerpała z tego siłę. Czuła każde uderzenie jego serca, pulsujące w jej sercu.

Rea szła głównymi ulicami swej osady, zmierzając do swej jednoizbowej chaty, mając wrażenie, że jej świat wywrócił się do góry nogami i zastanawiając się, co o tym wszystkim sądzić. Była *przy nadziei*. Nie wiedziała, jak być przy nadziei. Nie wiedziała, jak wydać na świat dziecko, ani jak je wychować. Ledwie była w stanie wykarmić siebie. Jak miałaby utrzymać dziecko?

Poczuła jednak, że rodzi się w niej nowa siła. Czuła, jak buzuje w jej żyłach. Była to siła, z której niejasno zdawała sobie sprawę podczas minionych trzech księżyców, a która teraz nabrała wyrazistości. Była to siła większa niż jej własna. Siła przyszłości, nadziei. Możliwości. Życia, którego nie mogła nigdy wieść.

Była to siła, która wymagała od niej, by była potężniejsza, niż kiedykolwiek mogła być.

Idąc powoli zakurzoną drogą, Rea zaczęła z wolna spostrzegać swe otoczenie i utkwione w niej spojrzenia wieśniaków. Obróciła się i po obu stronach drogi ujrzała ciekawskie i pełne dezaprobaty oczy staruch i młodych kobiet, starców i chłopców, tych, którzy przetrwali, okaleczonych ludzi, którzy nosili blizny tamtej nocy. Na wszystkich twarzach wryte było ogromne cierpienie. I wszyscy oni wpatrywali się w nią, w jej brzuch, jakby jakimś sposobem to ona była wszystkiemu winna.

Widziała pośród nich kobiety w jej wieku o udręczonych twarzach, przyglądające się jej bez krztyny współczucia. Rea wiedziała, że wiele z nich także zostało zapłodnionych i już przyjęły korzeń. W ich oczach dostrzegła żal i wyczuła, że pragnęły, by i ona go czuła.

Rea zauważyła, że ciżba wokół niej gęstnieje i gdy podniosła wzrok, z zaskoczeniem spostrzegła, że drogę zagraża jej ściana ludzi. Zdawało się, że cała wieś wyszła do niej, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Widziała udrękę na ich twarzach, udrękę, którą także i ona odczuwała. Zatrzymała się i utkwiała w nich spojrzenie. Wiedziała, czego od niej chcą. Chcą zabić jej synka.

Poczuła nagły sprzeciw – i w tej chwili postanowiła, że nigdy tego nie uczyni.

– Rea – rozległ się szorstki głos.

Severn, mężczyzna w średnim wieku o ciemnych włosach i brodzie i pozostałej po tamtej nocy bliźnie idącej przez policzek, stał pośrodku ciżby i mierzył ją gniewnym spojrzeniem. Lustrował ją wzrokiem, jak gdyby była sztuką bydła, i dziewczynie przeszło przez myśl, że jest niewiele lepszy od możnowładców. Oni wszyscy byli tacy sami: sądzili, że mają prawo sprawować władzę nad jej ciałem.

– Przyjmiesz korzeń – rozkazał ponurym głosem. – Przyjmiesz korzeń, a jutro będzie już po wszystkim.

Naprzód wyszła jakaś kobieta i stanęła obok Severna. Była to Luca. Ją także zaatakowano tamtej nocy i kobieta przyjęła korzeń tydzień wcześniej. Rea całą noc słyszała jej jęki i szlochy z żalu za utraconym dziecięciem.

Luca wyciągnęła przed siebie sakiewkę, w której widniał żółty proszek, a Rea cofnęła się. Czuła na sobie spojrzenia całej osady, wyczekującej, aż sięgnie po niego.

– Luca uda się z tobą nad rzekę – dodał Severn. – Pozostanie tam z tobą przez noc.

Rea patrzyła na nich, czując, jak rodzi się w niej jakaś obca energia. Mierzyła ich zimnym spojrzeniem.

Nie odrzekła nic.

Oblicza im spochmurniały.

– Nie sprzeciwiaj się nam, dziewczko – rzekł inny mężczyzna, wychodząc naprzód i zaciskając dłoń na sierpie, aż pobiełały mu kłykcie. – Nie niszczyć pamięci mężczyzn i kobiet, których straciliśmy tamtej nocy, wydając na świat ich potomstwo. Zrób, czego się od ciebie wymaga. Zrób, co do ciebie należy.

Rea wzięła głęboki oddech i z zaskoczeniem spostrzegła siłę własnego głosu, gdy odrzekła:

– Nie.

Jej głos jej samej zdał się obcy, był bardziej głęboki i dojrzały niż kiedykolwiek wcześniej. Jak gdyby z dnia na dzień stała się kobietą.

Rea zobaczyła, jak na ich twarzach maluje się gniew, niby chmura burzowa przepływająca po niebie w słoneczny dzień. Jeden z mężczyzn, Kavo, nachmurzył się i wyszedł naprzód. Otaczała go aura władczości. Rea opuściła wzrok i ujrzała w jego dłoni kańczug.

– Istnieje łatwy sposób, by to uczynić – rzekł głosem jak ze stali. – i trudny.

Rea czuła, jak serce tłucze jej się w piersi, gdy spojrzała mu prosto w oczy. Przypomniała sobie, co ojciec rzekł jej raz, gdy była małą dziewczynką: nigdy nie ustępuj. Przed nikim. Zawsze walcz o swoje, nawet jeśli masz znikome szanse na zwycięstwo. *Sz szczególnie* jeśli masz znikome szanse. Zawsze obieraj za cel największego z prześladowców. Atakuj pierwsza. Nawet jeśli przypłacisz to życiem.

Rea rzuciła się do działania. Nie zastanawiając się, wyciągnęła dłoń, wyrwała kij z dłoni jednego z mężczyzn, dała krok naprzód i z całej siły uderzyła Kavo w splot słoneczny.

Mężczyzna wciągnął gwałtownie powietrze i przewrócił się, a Rea nie czekając, aż się podniesie zamachnęła się i zdzieliła go kijem w twarz. Chrupnęło mu w nosie i mężczyzna upuścił kańczug i opadł na ziemię, w błoto, chwytając się za nos i pojękując.

Rea, wciąż zaciskając dłoń na kiju, podniosła wzrok i ujrzała przerażone, zaszokowane twarze wpatrzone w nią. Wszyscy zdawali się nieco mniej pewni swej racji.

– To *mój* synek – syknęła. – Urodzę go. Jeśli przyjdiesz po mnie, następnym razem w twym brzuchu znajdzie się nie kij, a miecz.

Z tymi słowy zacisnęła dłoń na kiju, odwróciła się i powoli odeszła, torując sobie łokciami drogę przez ciżbę. Wiedziała, że żaden z nich nie odważy się pójść za nią. Przynajmniej nie teraz.

Odeszła. Dłonie jej drżały, a serce waliło jak młotem. Wiedziała, że czeka ją długie sześć miesięcy, nim dziecko przyjdzie na świat.

I że kiedy przyjdą po nią następnym razem, przyjdą po to, by ją zabić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sześć księżyców później

Rea leżała na stosie futer przy swym niewielkim, huczącym palenisku, zupełnie sama, krzycząc z bólu, gdyż nadeszły skurcze. Na zewnątrz hulał zimowy wiatr. Potężna nawałnica trzaskała okiennicami o ściany i wciskała śnieg do chaty. Szalejąca burza wpasowała się w nastrój Rei.

Jej twarz lśniła od potu. Dziewczyna siedziała przy niewielkim ogniu, lecz nie potrafiła się rozgrzać pomimo huczących płomieni, pomimo tego, że jej dziecię kopało i obracało się w jej brzuchu, jak gdyby usiłowało się z niego wydostać. Była mokra i zziębnięta, drżała na całym ciele, i była pewna, że umrze tej nocy. Nadszedł kolejny skurcz i Rea pożałowała, że rycerz nie pozostawił jej wtedy na śmierć; okazałby większą łaskę. Ta przedłużająca się tortura, ta noc była czystą udręką, tysiącrotnie gorszą od wszystkiego, co on mógłby jej uczynić.

Wtem – głośniejszy nawet od jej krzyków, od podmuchów wichru – dał się słyszeć inny hałas – być może jedyny odgłos, który w tej chwili potrafił sprawić, że po plecach przebiegł jej dreszcz.

Były to krzyki ciżby. Rozwścieczonej ciżby wieśniaków, którzy – jak wiedziała – przyszli zabić jej dziecię.

Rea zebrała każdą pozostałą jej jeszcze uncję siły – siły, której nie wiedziała nawet, że jej pozostała – i, drżąc, zdołała jakoś podnieść się z ziemi. Pojękując i krzycząc upadła chwiejnie na kolana. Wyciągnęła rękę ku drewnianemu kołkowi na ścianie i zebrawszy wszystkie siły podniosła się z głośnym krzykiem.

Nie wiedziała już sama, czy ból był większy, gdy leżała, czy gdy stała. Nie miała jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Głosy ciżby były coraz głośniejsze, coraz bliższe i wiedziała, że niebawem się zjawią. Nie miałyby nic przeciwko swej śmierci. Lecz gdy chodziło o jej dziecię – to co innego. Musiała upewnić się, że to dziecię będzie bezpieczne, bez względu na to, jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić. Było to niezwykle dziwne, lecz czuła się bardziej przywiązana do życia tego dziecięcia niż swego własnego.

Rea zdołała dotrzeć chwiejnym krokiem do drzwi i oparła się o nie, podtrzymując się o klamkę. Stała tak, oddychając z trudem przez kilka sekund, wspierając się na klamce i zbierając siły. Wreszcie przekreśliła ją. Chwyciła stojące przy ścianie widły i, wspierając się na nich, otworzyła drzwi.

Reę zaskoczył nagły podmuch wiatru i śniegu, tak zimny, że zaparło jej dech. Usłyszała także okrzyki niosące się przez wiatr i serce jej zamarło, gdy w oddali ujrzała pochodnie, zmierzające ku niej krętą drogą niby rozwścieczone świetliki pośród nocy. Podniosła wzrok na niebo i pomiędzy chmurami dojrzała ogromny, czerwony księżyc, który zdawał się zajmować cały nieboskłon. Rea wciągnęła gwałtownie powietrze. To niemożliwe. Nigdy nie widziała, by księżyc rzucał czerwoną poświatę i nigdy nie widziała go podczas burzy. Poczuła mocne kopnięcie w brzuchu i nagle wiedziała bez cienia wątpliwości, że ten księżyc był znakiem. Miał ukazać się podczas narodzin jej dziecięcia.

Kim on jest? – zastanawiała się.

Rea opuściła dłonie i złapała się za brzuch, czując jak inna osoba porusza się wewnątrz niej. Czuła jego siłę, pragnął wyrwać się na zewnątrz, jak gdyby chciał sam walczyć z tymi ludźmi.

Wtem nadeszli. Płonące pochodnie rozświetliły ciemność i zjawiała się przed nią ciżba, wyłoniwszy się z uliczek. Zmierzała prosto na nią. Gdyby była dawną sobą – silną, zręczną – stawiałaby im czoła. Lecz ledwie była w stanie chodzić – ledwie stała na nogach – i nie mogła się teraz z nimi zmierzyć. Nie kiedy jej dziecię miało przyjsć na świat.

Rea poczuła jednak, że przepływa przez nią pierwotny gniew i pierwotna siła, pierwotna siła – jak wiedziała – jej dziecięcia. Poczuła także przyptyw adrenaliny i ból na chwilę zelżał. Przez krótką chwilę poczuła się znów sobą.

Pierwszy z wieśniaków zbliżał się do niej. Niski, gruby mężczyzna biegł na nią z wyciągniętym przed siebie sierpem. Gdy znalazł się już przy niej, Rea odchyliła się w tył, chwyciła widły obiema rękami, odsunęła się na bok i wydając z siebie pierwotny krzyk wbiła je prosto w jego brzuch.

Mężczyzna zatrzymał się, zaszokowany, po czym osunął się u jej stóp. Cizba także zatrzymała się, patrząc na nią w szoku, wyraźnie się tego nie spodziewając.

Rea nie czekała. Szybkim ruchem wyciągnęła widły, obróciła nimi nad głową i zdzieliła kolejnego wieśniaka w policzek, gdy mężczyzna rzucił się na nią z pałką. Ten także runął w śnieg u jej stóp.

Rea poczuła okropny ból w boku, gdy inny mężczyzna ruszył naprzód i rzucił się na nią, powalając w śnieg. Prześlizgnęli się kilka stóp, a dziewczyna jęknęła z bólu, gdy poczuła jak dziecię kopie w jej brzuchu. Mocowała się z mężczyzną w śniegu, walcząc o życie i gdy na chwilę rozluźnił uścisk, zdesperowana Rea zatopiła zęby w jego policzku. Mężczyzna wrzasnął, gdy zacisnęła je mocno, aż rana zaczęła broczyć krwią. Rea czuła jej smak i nie zamierzała puścić, myśląc o swym dzieciństwie.

Wreszcie mężczyzna stoczył się z niej, chwytając się za policzek, a Rea spostrzegła swą szansę. Ślizgając się na śniegu podniosła się na nogi, gotowa do ucieczki. Niemal jej się to udało, gdy poczuła nagle, jak czyjaś dłoń chwyta ją od tyłu za włosy. Ten mężczyzna niemal wyrwał jej włosy z głowy, powalając ją z powrotem na ziemię i ciągnąc za sobą. Obejrzawszy się ujrzała gniewną twarz Severna.

– Powinnaś była usłuchać, gdyś miała szansę – wycedził przez zęby ze złością. – a teraz zginięsz razem ze swym dziecieniem.

Rea usłyszała radosne okrzyki cizby i wiedziała, że przyszedł na nią czas. Zamknęła oczy i modliła się. Nie była nigdy wierzącą osobą, lecz w tej chwili zwróciła się do Boga.

Proszę każdą cząstką tego, kim jestem, by to dziecię ocalało. Możesz pozwolić, bym ja zginęła. Tylko ocal dziecię.

Jak gdyby jej modlitwy zostały wysłuchane, poczuła nagle, że zaciśnięta na jej włosach dłoń rozluźnia się i jednocześnie usłyszała głuchy huk. Podniosła głowę, zaskoczona, zastanawiając się, co też mogło się stać.

Gdy zobaczyła, kto przyszedł jej z pomocą, była zaskoczona. Był to chłopak – Nick –młodszy od niej o kilka lat. Był synem zwykłego chłopca, jak ona. Nie był szczególnie lotny i inni zawsze naśmiewali się z niego. Rea jednak zawsze okazywała mu dobroć. Być może pamiętał o tym.

Rea patrzyła, jak Nick unosi pałkę i uderza Severna w bok głowy, strącając go z niej.

Nick stanął przed cizbą, wyciągając przed siebie pałkę i odgradzając dziewczynę od nich.

– Uciekaj, już! – krzyknął do niej. – Nim cię zabiją!

Rea spojrzała na niego z wdzięcznością i zaskoczeniem. Ta cizba z pewnością pogruchocze mu kości za to, co zrobił.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi i puściła się biegiem przed siebie, ślizgając się po drodze, zdeterminowana, by uciec daleko póki miała jeszcze na to czas. Skryła się w uliczkach, ale nim w nich zniknęła, zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Nick zamachuje się z furią na wieśniaków i uderza kilku z nich pałką. Kilku mężczyzn jednak natarło i powaliło go na ziemię. Gdy nie stał im już na drodze, ruszyli w ślad za nią.

Rea biegła. Z trudem chwytając oddech pokonywała kręte uliczki w poszukiwaniu schronienia. Dysząc i walcząc z ogromnym bólem, nie wiedziała, jak długo zdoła jeszcze uciekać.

Wreszcie wbiegła do głównej części osady, w której stały wspaniałe kamienne zabudowania. Gdy zerknęła przez ramię, z przerażeniem zobaczyła, że się zbliżają. Byli już niecałe dwadzieścia stóp za nią. Wciągnęła gwałtownie powietrze, bardziej potykając się niż biegnąc. Wiedziała, że zbliża się jej kres. Nadchodziła kolejna fala bólu.

Wtem rozległo się głośnie skrzypienie i gdy Rea podniosła wzrok, ujrzała, że otwierają się przed nią szeroko przedwieczne dębowe drzwi. Z zaskoczeniem ujrzała Fiotha, starego aptekarza, który wyglądał na zewnątrz ze swego niewielkiego kamiennego fortu z szeroko otwartymi oczyma, gestem

przyzywając ją, by szybko weszła do środka. Fioth wyciągnął do niej rękę i szarpnął zaskakująco mocno jak na swój wiek, a Rea zataczając się przekroczyła próg dużego donżonu.

Mężczyzna zatrzasnął drzwi i zaryglował je za nią.

Po chwili rozległo się łupanie do drzwi, ręce i sierpy tuzinów wzburzonych wieśniaków próbowały je wyważyć. Drzwi jednak, ku nieopisanej uldze Rei, nie ustąpiły. Były grube na stopę i o stulecia starsze od niej. Ciężkie żelazne rygle ani drgnęły.

Rea odetchnęła głęboko. Jej dziecko było bezpieczne.

Fioth nachylił się i przyjrzał jej uważnie. Jego twarz była pełna współczucia i jego łagodność pomogła jej nade wszystko. Od miesięcy nikt w całej osadzie nie spojrzał na nią z dobrocią.

Aptekarz zdjął jej futro, a Rea syknęła, gdy poczuła kolejny skurcz. Było tu cicho – podmuchy wichru omiatające dach były stłumione – i bardzo ciepło.

Fioth poprowadził ją obok paleniska i pomógł położyć się na stosie futer. Wtedy dopiero poczuł, jak to wszystko ją umęczyło: bieg, walka, ból. Osunęła się na ziemię. Wiedziała, że nawet gdyby tysiąc mężów dobijał się do drzwi, nie mogłaby się już poruszyć.

Krzyknęła, gdy jej ciałem szarpnął ostry ból.

– Nie mogę biec – jęknęła Rea, zaczynając łkać. – Nie mogę już biec.

Aptekarz schłodził jej czoło chłodną, wilgotną szmatką.

– Nie musisz już nigdzie biec – powiedział głosem pradawnie brzmiącym, niosącym otuchę, jak gdyby nie pierwszy raz był tego świadkiem. – Jestem przy tobie.

Krzyknęła i jęknęła, gdy przeszła przez nią kolejna fala bólu. Miała wrażenie, że rozdziera ją na dwoje.

– Połóż się! – rozkazał.

Uczyniła, jak jej kazał – a po sekundzie coś poczuła. Silny nacisk pomiędzy nogami.

Nagle rozległ się dźwięk, który wprowadził ją w przerażenie.

Łkanie.

Krzyk dziecięcia.

Nieomal zemdląła z bólu.

Na przemian tracąc przytomność i odzyskując ją, patrzyła na wprawne dłonie aptekarza, które wyciągały z niej dziecko. Zbliżył do niego jakiś ostry przedmiot i przeciął pępówinę. Rea patrzyła, jak ociera dziecko szmatką, oczyszcza jego płuca, nos, gardło.

Płacz i krzyk przybrały na sile.

Rea zaczęła szlochać. Ten dźwięk był niezwykłą ulgą i przeszył jej serce, wznosząc się nawet ponad odgłos dobijających się do drzwi wieśniaków. Dziecię.

Jej dziecko.

Żył. Na przekór wszystkiemu narodził się.

Rea jak przez mgłę widziała, jak aptekarz otula go pledem, a następnie poczuła ciepło, gdy położył synka w jej ramionach. Czuła jego ciężar na swej piersi i trzymała mocno krzyczącego i płaczącego chłopca. Nigdy nie była tak uradowana, po jej policzkach ciekły łzy.

Nagle dał się słyszeć inny odgłos: tętent końskich kopyt. Brzęk zbroi. A po chwili – krzyki. Nie był to już odgłos ciżby krzyczącej, że ją zabije – lecz raczej samej ciżby, która była zabijana.

Rea nasłuchiwała, skołowana, próbując to zrozumieć. Wtem odczuła przyływ ulgi. To oczywiste. Możliwe, że powrócił, by ją ocalić. By ocalić swe dziecko.

– Dzięki Bogu – rzekła. – Rycerze przybyli mi na ratunek.

Rea poczuła nagły przyływ optymizmu. Być może mężczyzna zabierze ją z dala od tego wszystkiego. Być może zyska szansę, by zacząć życie od nowa. Jej synek będzie dorastał w zamku, stanie się wielkim panem, być może ona zamieszka tam wraz z nim. Jej dziecko będzie wiodło udane życie. Ona będzie wiodła udane życie.

Reę ogarnęła ulga, a po jej policzkach spłynęły łzy radości.

– Nie – poprawił ją aptekarz poważnym głosem. – Nie przybyli, by ocalić twoje dziecko.

Spojrzała na niego skołowana.

– Dlaczego zatem przybyli?

Mężczyzna popatrzył na nią ponuro.

– By je zabić.

Patrzyła na niego z przerażeniem, czując, jak po plecach przebiega ją dreszcz.

– Nie zawierzyli, że ciżba wieśniaków wykona to zadanie – dodał. – Pragnęli mieć pewność, że zostanie wykonane należycie, ich rękoma.

Rea poczuła, jak krew ścina jej się w żyłach.

– Ale... – wyjąkała, próbując to zrozumieć. – moje dziecko należy do tego rycerza. Do ich dowódcy. Dlaczego? Dlaczego mieliby pragnąć jego śmierci?

Fioth pokręcił ponuro głową.

– Ci, których tam słyszysz, to nie jego ludzie. To jego rywale. Chcą śmierci jego dziecięcia. Chcą *twojej* śmierci.

Patrzył na nią z paniką, ponaglając ją spojrzeniem, i Rea przeraziła się nie na żarty, gdy spostrzegła, że rzekł prawdę.

– Oboje musicie opuścić to miejsce! – nalegał. – Natychmiast!

Ledwie skończył wypowiadać te słowa, a rozległo się uderzenie żelaznego tarana o drzwi. Tym razem nie był to jakiś sierp jednego z wieśniaków – był to taran wyćwiczonego rycerza. Gdy uderzył, drzwi ugięły się.

Fioth obrócił się w jej stronę z oczyma szeroko otwartymi w panice.

– IDŹ! – krzyknął.

Rea spojrzała na niego, zdjeta strachem, zastanawiając się, czy w tym stanie zdoła choćby się podnieść. Mężczyzna jednak chwycił ją i szarpnięciem postawił na nogi. Wykrzyknęła z bólu. Każdy ruch był dla niej udręką.

– Proszę! – wykrzyknęła. – To boli zbyt mocno! Pozwól mi umrzeć!

– Spójrz w swe ramiona! – odkrzyknął. – Czy chcesz, by on zginął?

Rea opuściła wzrok na chłopca zanoszącego się płaczem w jej ramionach i gdy rozległo się kolejne uderzenie o drzwi, wiedziała, że aptekarz ma rację. Nie mogła pozwolić, by zginął.

– A co stanie się z tobą? – jęknęła, spostrzegłszy się. – Ciebie także zabiją.

Skinął głową z rezygnacją.

– Przeżyłem już wiele lat – odparł. – Jeśli zdołam spowolnić ich, a ty zyskasz szansę na bezpieczeństwo, z chęcią oddam to, co pozostało jeszcze z mego życia. A teraz idź już! Zmierzaj ku rzece! Znajdź łódź i opuść to miejsce! Żywo!

Pociągnął ją, nim zdążyła się zastanowić, i nim się zorientowała, mężczyzna prowadził ją ku tylnemu wyjściu ze swego fortu. Odsunął gobelin, za którym skryte były drzwi wykute w kamiennej ścianie. Napał na nie z całej siły, a one otworzyły się skrzypiąc, uwalniając przedwieczne powietrze. Zimny podmuch wpadł do środka.

Ledwie się otwarły, a mężczyzna wypchnął ją i jej dziecko na zewnątrz.

Rea znalazła się pośród śnieżycy i potykając się zaczęła schodzić w dół stromego, zasypanego śniegiem brzegu rzeki, ściskając swe dziecko. Ślizgała się, czując, jak gdyby świat walił się pod jej stopami, ledwie była w stanie się poruszać. Gdy biegła, grom uderzył w ogromne drzewo nieopodal niej, rozświetlając noc, i pokrywając je płomieniami powalił tuż obok.

Rea potknęła się i w chwili, gdy skuliła się, by osłonić swe dziecko, poczuła jak naszyjnik, który jego ojciec jej podarował, zsuwa się z jej szyi i wpada w płomienie. Rea odłamała gałązkę, by go stamtąd wyciągnąć i zdołała to zrobić, choć gałązka zajęła się ogniem. Trzymała go przez chwilę w powietrzu i z przerażeniem spostrzegła, jak rączka jej dziecięcia wyciąga się ku niemu.

Jej syn wrzasnął, a Rea odrzuciła naszyjnik na bok, nie dbając o to, od *kogo* otrzymała ten podarek. Przerażona ujrzała dokładne odbicie naszyjnika na rączce dziecięcia. Czuła, że to omen.

Teren stał się bardziej spadzisty i Rea znów się poślizgnęła, tym razem upadając na ziemię. Spadała w dół i krzyczała, osuwając się ku brzegowi rzeki.

Odetchnęła z ulgą, gdy się na nim znalazła i zrozumiała, że gdyby nie ześlizgnęła się aż tutaj, najpewniej nigdy by tu nie dobiegła. Zerknęła przez ramię w górę skarpy, zaszokowana tym, jak długą drogę przebyła i przyglądała się z przerażeniem, jak rycerze wdzierają się do fortu Fiotha i podpalają go. Ogień płonął żywo pomimo śniegu i Reę ogarnęło ogromne poczucie winy, gdyż wiedziała, że męczyzna oddał za nią życie.

Po chwili rycerze wypadli przez tylne drzwi, a coraz więcej koni galopowało wokół fortu. Rea zauważyła, że ją spostrzegli i bez chwili wahania ruszyli w jej stronę.

Rea odwróciła się i próbowała uciec, lecz nie miała dokąd. I tak nie była w stanie biec. Mogła jedynie paść na kolana nad brzegiem rzeki. Wiedziała, że zginie tutaj. Była u kresu sił.

Pozostała jednak nadzieja dla jej dziecięcia. Rea rozejrzała się i spostrzegła płataninę chrustu, być może bobrowe żeremie, splecione tak gęsto, że przypominało kosz. Wiedziona matczyną miłością obmyśliła prędko plan. Wyciągnęła rękę, chwyciła je i szybko ułożyła w nim swe dziecko. Położyła kosz na wodzie i z ulgą spostrzegła, że unosi się na niej.

Rea wyciągnęła ręce i gotowała się, by pchnąć kosz na spokojne wody rzeki. Jeśli nurt go chwyci, odpłynie z dala od tego miejsca. Gdzieś w dół rzeki. Jak daleko i jak długo – tego nie wiedziała. Lecz niewielka szansa przeżycia była lepsza niż żadna.

Łkając, Rea nachyliła się i złożyła pocałunek na czole swego dziecięcia. Krzyknęła z żalu i otuliła jego dłonie swymi.

– Kocham cię – powiedziała, łkając. – Nigdy mnie nie zapomnij.

Dziecię wrzasnęło, jak gdyby ją zrozumiało i był to przeszywający krzyk, niosący się nawet ponad kolejnym uderzeniem grzmotu, nawet ponad odgłosem zbliżających się koni.

Rea wiedziała, że nie może dłużej zwlekać. Pchnęła kosz, który rychło został podchwycony przez nurt. Szlochając patrzyła, jak znika w mroku.

Ledwie straciła go z oczu, a obok niej rozległ się brzęk zbroi – i obróciwszy się raptownie ujrzała kilku rycerzy, którzy schodzili ze swych wierzchowców zaledwie kilka stóp od niej.

– Gdzie jest dziecko? – zapytał jeden z nich. Miał opuszczoną zasłonę hełmu, a jego głos poniósł się ponad burzą. Nie przypominała wcale zasłony mężczyzny, który ją wtedy posiadał. Ten rycerz miał na sobie czerwoną zbroję innego rodzaju, a w jego głosie nie było ani krzty dobroci.

– Ja... – zaczęła Rea.

Wtem poczuła w sobie furie – furie kobiety, która wiedziała, że zginie. Która nie miała nic do stracenia.

– Nie ma go tu – syknęła buntowniczo. Uśmiechnęła się. – I nigdy go nie schwytniecie. *Nigdy.*

Męczyzna chrząknął ze złością, dał krok naprzód, dobył miecza i dźgnął ją.

Rea poczuła okropny ból od klingi miecza w swej piersi i jęknęła, pozbawiona tchu. Czowała, że wszystko staje się lżejsze, że osnuwa ją białe światło i wiedziała, że tak wygląda śmierć.

Nie lękała się jednak. Zamiast tego czuła satysfakcję. Jej dziecko było bezpieczne.

I gdy wpadła twarzą do rzeki, a woda zaczęła nabierać barwy krwi, wiedziała że to koniec. Jej krótkie, trudne życie dobiegło kresu.

Lecz jej synek będzie żył wiecznie.

*

Wieśniaczka Mithka klęczała na brzegu rzeki obok swego męża. Gorączkowo powtarzali modły, nie znajdując innej drogi ratunku podczas tej nieprawdopodobnej burzy. Mieli wrażenie, że zbliża się koniec świata. Krwistoczerwony księżyc sam w sobie był złym omenem – lecz gdy ukazał się w czasie burzy takiej jak ta, cóż, było to bardziej niż nieprawdopodobne. Było to niesłychane. Mithka wiedziała, że dzieje się coś doniosłego.

Kłęczeli obok siebie, a podmuchy wiatru i śniegu chłostały ich twarze. Kobieta modliła się o ochronę dla ich rodziny. O litość. O wybaczenie za wszystko, co zrobiła źle.

Mithka była bogobojną kobietą. Przeżyła wiele cykli słonecznych, wydała na świat kilkoro dzieci, wiodła dobre życie. Ubogie, lecz dobre. Była przyzwoitą kobietą. Nie wściubiła nosa w nie swoje sprawy, dbała o innych i nigdy nie wyrządziła nikomu krzywdy. Modliła się, by Bóg oszczędził jej dzieci, jej domostwo i liche przedmioty, które posiadali. Pochyliła się i położyła dłonie w śniegu, zamknęła oczy i nachyliła się nisko, głową dotykając ziemi. Modliła się do Boga o znak.

Powoli podniosła głowę. Otworzyła oczy szeroko, a serce zaczęło tłuc się jej w piersi, gdy spostrzegła coś przed sobą.

– Murka! – syknęła.

Jej mąż odwrócił się i także spojrzał na to. Oboje zastygli w miejscu, osłupiali ze zdumienia.

To nie było możliwe. Mithka zamrugnęła kilkukrotnie, lecz wciąż widziała to samo. Przed nimi, niesiony z nurtem rzeki, płynął kosz.

A w koszu było dziecko.

Chłopiec.

Jego krzyki niosły się przez noc, a były głośniejsze nawet od burzy, od nieprawdopodobnych uderzeń gromów. Każdy krzyk przeszywał jej serce.

Wbiegła do rzeki i brodziła głęboko, nie zważając na lodowatą wodę, która wbijała się w jej ciało jak noże. Chwyciła kosz i zmagając się z nurtem, ruszyła w kierunku brzegu. Opuściła wzrok i spostrzegła, że dziecko jest ciasno opatulone pledem i że – jakimś cudem – jest suche.

Przyjrzała się mu uważniej i z zaskoczeniem ujrzała świeżą bliznę po oparzeniu na jego rączce – a jeszcze bardziej zdumiał ją zarys symbolu: dwa węże oplatające księżyc, a pomiędzy nimi sztylet.

Wciągnęła gwałtownie powietrze; natychmiast go rozpoznała. O tym symbolu mówiły ludowe opowiadki i legendy. Przełękła się go.

Obróciła się do swego męża.

– Kto mógł postąpić w taki sposób? – zapytała z przerażeniem, trzymając dziecko blisko piersi.

Mężczyzna jedynie pokręcił głową w zadziwieniu.

– Musimy zabrać go do domu – zdecydowała.

Jej mąż zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Jakim sposobem? – warknął. – Nie stać nas, by go wykarmić. Ledwie dla nas starcza. Mamy już trzech synów – do czego potrzebny nam czwarty? Odchowaliśmy już dzieci.

Mithka prędko podjęła decyzję. Pokazała mu bliznę na rączce dziecięcia, po tylu latach wiedząc już, co przekona jej męża. W rzeczy samej, blizna wywarła na nim wrażenie.

– Spójrz – odwarknęła. – To znak. Znak dla nas – rzekła surowo. – Ocalę to dziecko – czy ci się to podoba, czy nie. Nie pozostawię go tu na śmierć.

Mężczyzna nadal był nachmurzony, lecz mniej pewny swego, gdy nieboskłon nad nimi przecięła kolejna błyskawica. Spojrzał bacznie w górę ze strachem.

– Czy sądzisz, że to zbieg okoliczności? – zapytał. – W noc taką jak ta dziecko przychodzi na świat? Masz pojęcie, kogo trzymasz na rękach?

Spojrzał na dziecko ze strachem. Następnie wstał i cofnął się, wreszcie odwrócił się i odszedł, wyraźnie niezadowolony.

Lecz Mithka nie zamierzała ustąpić. Uśmiechnęła się do dziecięcia i kołysząc je, tuliła do piersi, ogrzewając jego zziębniętą twarzyczkę. Z wolna jego płacz ucichł.

– Dziecię niepodobne do żadnego z nas – odrzekła do nikogo, trzymając go blisko siebie. – Dziecię, które zmieni świat. A na imię będzie mu Royce.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ CZWARTY

17 cykli słonecznych później

Royce stał na szczycie wzgórza pod jedynym dębem rosnącym pośród łąnów zbóż, pod przedwiecznym drzewem, którego konary wyciągały się ku niebu. Spojrzał Genevieve głęboko w oczy, zadurzony po uszy. Trzymali się za ręce i dziewczyna uśmiechnęła się do niego, a gdy przysunęli się i pocałowali, Royce czuł zachwyt i wdzięczność, że jego serce może się tak radować. Gdy słońce wzbilo się ponad łąnami zbóż, Royce zapragnął zatrzymać tę chwilę na zawsze.

Młodzieniec odsunął się i spojrzał na nią. Genevieve była przepiękna. Miała siedemnaście lat, podobnie jak on, była wysoka i smukła, o jasnych włosach i zielonych oczach o bystrym wejrzeniu, a jej delikatna twarzyczka muśnięta była piegami. Dzięki jej uśmiechowi Royce czuł się rad, że żyje, a jej śmiech niósł mu ukojenie. Nadto cechowały ją wdzięk i szlachetność, które zdecydowanie nie pasowały do tego, że była wieśniaczką.

Royce ujrzał w jej oczach swe odbicie i nie mógł się nadziwić tym, że wyglądał, jak gdyby mógł być z nią spokrewniony. Był, rzecz oczywista, znacznie postawniejszy – wysoki jak na swój wiek, w barkach szerszy nawet niż jego starsi bracia, miał mocno zarysowany podbródek, szlachetny nos, dumne czoło, prężne mięśnie pod postrzępioną tuniką i delikatne rysy twarzy, jak Genevieve. Długawe jasne włosy opadały mu na czoło tuż nad oczami, a orzechowo-zielone oczy były podobnej do jej, choć o odcień ciemniejsze. Los obdarzył go siłą i zręcznością we władaniu mieczem równą jego braciom, choć był najmłodszy z całej czwórki. Jego ojciec wspominał zawsze żartobliwie, że spadł z nieba i Royce rozumiał go: nie miał ciemnych włosów jak jego bracia ani przeciętnej postury jak oni. Był jak ktoś obcy w swej własnej rodzinie.

Objęli się i Royce poczuł, jak dobrze było być przytulanym mocno, mieć kogoś, kto kocha go równie mocno, jak on ją. Ci dwoje byli nierozłączni od dziecięcych lat, dorastali razem, bawiąc się na tych polach, i już wtedy poprzysięgli, że w dzień przesilenia letniego siedemnastego roku swego życia staną na ślubnym kobiercu. Jako dzieci złożyli śmiertelnie poważną przysięgę.

Wraz z upływem czasu, gdy rok mijał za rokiem, nie odsunęli się, jak większość dzieci, lecz zbliżyli jeszcze do siebie. Wbrew wszystkiemu ich przysięga przekształciła się z dziecinnej igraszki w coś, co z każdym rokiem było silniejsze, poważniejsze, niezniszczalne. Zdawało się, że ich drogi miały się nigdy nie rozwidlić.

Teraz wreszcie, choć trudno było im w to uwierzyć, ten dzień nadszedł. Oboje mieli po siedemnaście lat, nadszedł dzień letniego przesilenia, byli teraz dorośli, mogli decydować o sobie i gdy stali tak pod tym drzewem, patrząc na wznoszące się nad widnokręgiem słońce, oboje byli beztroscy i podekscytowani, wiedząc, co to oznacza.

– Czy twoja matka jest rada? – zapytała.

Royce uśmiechnął się.

– Sądzę, że kocha cię bardziej niż ja, o ile to możliwe – zaśmiał się.

Śmiech Genevieve dotarł do głębi jego serca.

– A twoi rodzice? – zapytał.

Dziewczyna spochmurniała, ledwie na chwilę, a Royce posmutniał.

– Chodzi o mnie? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Kochają cię – odrzekła. – Lecz... – westchnęła. – Nie jesteśmy jeszcze zaślubieni. Nie mogą się już doczekać. Lękają się o mnie.

Royce rozumiał ich. Jej rodzice obawiali się możnowładców. Niezaślubieni wieśniacy, jak Royce i Genevieve, nie mieli żadnych praw; jeśli możnowładcy zechcieli, mogli zjawić się we wsi i zabrać ich kobiety, wziąć je dla siebie. Aż do chwili – rzecz oczywista – gdy zostały zaślubione. Wtedy nic już im nie groziło.

– Już niebawem – powiedziała Genevieve i rozpromieniła się w uśmiechu.

– Odczują ulgę, gdyż chodzi o mnie czy dlatego, że gdy będziesz zaślubiona, nic nie będzie groziło ci ze strony możnowładców?

Dziewczyna zaśmiała się i uderzyła go w żartach.

– Kochają cię jak syna, którego nigdy nie mieli! – rzekła. – I ja także cię kocham. Proszę, weź to.

Wyciągnęła w jego stronę sznurek, na którym zawieszony był splątany drut, a wewnątrz niego pukiel jej włosów. Dla Royce’a jednak podarek ten był cenniejszy niż wszystko inne. Przyjął go i wetknął za koszulę, blisko swego serca.

Schwycił ją za ręce i pocałował.

– Royce! – dobiegł ich krzyk.

Obróciwszy się Royce zobaczył swych trzech braci wspinających się po zboczu. Były z nimi także siostry i kuzynki Genevieve. Wszyscy mieli w dłoniach sierpy i widły i byli gotowi rozpocząć kolejny dzień pracy. Royce wziął głęboki oddech, wiedząc, że nadszedł czas rozłuki. Byli wszak wieśniakami i nie mogli sobie pozwolić na wolny dzień. Ich zaślubiny będą musiały poczekać do zachodu słońca.

Royce’owi nie przeszkadzało, że musi pracować tego dnia, lecz odczuwał żal przez wzgląd na Genevieve. Żałował, że nie może ofiarować jej więcej.

– Chciałbym, byś mogła dziś nie pracować – powiedział Royce.

Uśmiechnęła się, po czym roześmiała.

– Praca daje mi szczęście. Odciąga moje myśli od pewnych spraw. Szczególnie – powiedziała, przysuwając się i całując czubek jego nosa. – od tego, że tak długo muszę czekać, by znowu cię dziś ujrzeć.

Pocałowali się i Genevieve odwróciła się, chichocząc. Wzięła się pod ręce z siostrami i kuzynkami i niebawem szła już z nimi dziarskim krokiem na pola, a wszystkim wirowało w głowach od tego cudownego letniego dnia.

Bracia Royce’a stanęli obok niego i zacisnęli dłonie na jego przedramieniu, i we czterech ruszyli w swoją stronę, w dół przeciwnego zbocza wzniesienia.

– Chodź, kochasiu! – powiedział Raymond. Najstarszy syn był dla Royce’a jak ojciec. – Możesz poczekać do wieczora!

Pozostali dwaj bracia roześmieli się.

– Ależ zawróciła mu w głowie – dodał Lofen, środkowy syn, niższy od pozostałych, lecz bardziej krępy.

– Wszelka nadzieja stracona – wtrącił Garet. Był najmłodszy z trzech, ledwie kilka lat starszy od Royce’a i najbliższy mu, lecz także najmocniej odczuwał panującą pomiędzy nimi braterską rywalizację. – Zaślubin jeszcze nie było, a on już przepadł.

Cała trójka roześmiała się, drocząc się z nim, a Royce uśmiechał się razem z nimi, gdy zmierzali jak jeden mąż w stronę pól. Po raz ostatni zerknął przez ramię i zobaczył jeszcze Genevieve znikającą po drugiej stronie wzgórza. Serce wezbrało mu radością, gdy ona także obejrzała się po raz ostatni i uśmiechnęła do niego z daleka. Ten uśmiech ukoił jego duszę.

Dziś wieczór, kochana, pomyślał. Dziś wieczór.

*

Genevieve pracowała w polu, unosząc i zamachując się sierpem, otoczona tuzinem swych sióstr i kuzynek. Wszystkie śmiały się w głos tego pięknego dnia, a Genevieve pracowała bez przekonania. Co kilka uderzeń zatrzymywała się i opierała o długi trzon, patrzyła w błękitny nieboskłon i pyszne żółte łany pszenicy, myśląc o Roysie. Wtedy serce jej przyspieszało. O tym dniu zawsze marzyła, odkąd była małą dziewczynką. Był to najważniejszy dzień jej życia. Od dziś ona i Royce będą wiedli wspólne życie przez resztę swych dni; od dziś będą mieli własną chatę, proste jednoizbowe domostwo na obrzeżach pól, skromne gospodarstwo ofiarowane im przez rodziców. Będzie to nowy początek, miejsce, w którym będą mogli zacząć życie od nowa jako mąż i żona.

Genevieve rozpromieniła się na tę myśl. Niczego nigdy nie pragnęła bardziej, niż być z Royce'em. Był zawsze przy niej, u jej boku, odkąd była dzieckiem, i nigdy nie liczył się dla niej nikt poza nim. Choć był najmłodszy spośród czterech braci, Genevieve wyczuwała zawsze, że kryje się w nim coś wyjątkowego, coś, co wyróżniało go spośród pozostałych. Był inny niż wszyscy wokoło niej, niż każdy, kogo kiedykolwiek poznała. Nie wiedziała, czym dokładnie się różni i podejrzewała, że on sam także tego nie wiedział. Dostrzegała w nim jednak coś, coś potężniejszego niż ta wieś, ta okolica. Jak gdyby jego przeznaczenie miało posłać go gdzie indziej.

– A co z jego braćmi? – dobiegł ją głos.

Genevieve ocknęła się z zadumy. Obróciła się i ujrzała Sheilę, swą starszą siostrę, która chichotała. Dwie spośród jej kuzynek stały za nią.

– Ma ich wszak trzech! Nie możesz mieć ich wszystkich! – dodała ze śmiechem.

– Otóż to, na co czekasz? – wtrąciła jej kuzynka. – Czekamy, aż nas zaznajomisz.

Genevieve roześmiała się.

– Już to *uczyniłam* – odrzekła. – wielokrotnie.

– To nie wystarczy! – odparła Sheila, a pozostałe dziewczyny roześmiały się.

– Czy twoja siostra nie powinna wszak poślubić jego brata?

Genevieve uśmiechnęła się.

– Niczego nie pragnęłabym bardziej – odrzekła. – lecz nie mogę mówić za nich. Wiem jedynie, co kryje się w sercu Royce'a.

– Przekonaj ich! – nalegała druga kuzynka.

Genevieve roześmiała się znów.

– Postaram się.

– A co przywdziejesz? – przerwała jej kuzynka. – Nie zdecydowałaś jeszcze, którą suknię...

Powietrze przeszył nagły hałas, który natychmiast wzbudził w Genevieve przerażenie, sprawił, że wypuściła z rąk sierp i zwróciła się w stronę horyzontu. Nim w pełni go usłyszała, wiedziała już, że był to złowróżbny dźwięk, zwiastujący kłopoty.

Odwróciła się i spojrzała uważnie w stronę widnokregu, a wtedy jej złe przeczucia potwierdziły się. Dał się słyszeć tętent kopyt i zza wzgórza wyłoniły się konie. Serce jej zadrżało, gdy spostrzegła, że jeźdźcy przyodziani są w najświetniejsze jedwabie i gdy zobaczyła ich chorągiew – zieleni i złoto z niedźwiedziem pośrodku, znak rodu Norsów.

Nadjeżdżali możnowładcy.

Genevieve zadrżała z gniewu na ich widok. Ci chciwi ludzie pobierali wciąż kolejne dziesięciny od jej rodziny, od wszystkich rodzin w osadzie. Pozbawiali innych wszystkiego, a sami żyli jak królowie. Mimo tego wciąż było im mało.

Genevieve patrzyła na jadących i modliła się z całego serca, by jedynie przejeżdżali obok, by nie zwrócili się w jej stronę. Nie widziała ich wszak na tych polach od wielu cykli słonecznych.

Spostrzegła jednak z rozpaczą, jak nagle skręcają i jadą prosto na nią.

Nie, modliła się w duchu. Nie teraz. Nie tutaj. Nie dzisiaj.

Oni jechali jednak i jechali, zbliżając się coraz bardziej, wyraźnie zmierzając ku niej. Musiały roznieść się wieści o jej zaślubinach, a to zawsze sprawiało, że pragnęli wziąć, co tylko mogli, nim będzie za późno.

Pozostałe dziewczęta bezwiednie zebrały się dokoła niej. Sheila obróciła się do niej i mocno chwyciła ją za rękę.

– UCIEKAJ! – rozkazała, popychając ją.

Genevieve odwróciła się i ujrzała rozciągające się przed nią przez mile puste pola. Wiedziała, jak niemądre by to było – nie zdołałaby uciec daleko. I tak by ją schwytali – lecz bez godności.

– Nie – odrzekła ze spokojem, opanowana.

Zamiast tego zacisnęła dłonie na sierpie i wyciągnęła go przed siebie.

– Stanę z nimi do walki.

Dziewczęta spojrzały na nią, wyraźnie zaskoczone.

– Sierpem? – zapytała jej kuzynka głosem pełnym wątpliwości.

– Być może nie mają złych zamiarów – wtrąciła druga kuzynka.

Genevieve jednak patrzyła na zbliżających się mężczyzn i powoli pokręciła głową.

– Mają – odrzekła.

Patrzyła, jak się zbliżają i spodziewała się, że zwolnią – jednak ku jej zaskoczeniu, tak się nie stało. Pośrodku jechał Manfor, uprzywilejowany możnowładca w dwudziestym roku życia, którym gardziła, jeden z książąt królestwa, młodzieniec o szerokich ustach, jasnych oczach, złotych puklach i złośliwym uśmiechu, który nigdy nie znikał z jego twarzy. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nieustannie patrzył na wszystkich z góry.

Gdy był już bliżej, Genevieve spostrzegła, że uśmiecha się okrutnie, przyglądając się jej ciału jak gdyby była kawałem mięsiwa. Był już niecałe dwadzieścia stóp od niej, a wtedy Genevieve uniosła sierp i dała krok naprzód.

– Nie wezmą mnie – powiedziała, zdeterminowana, myśląc o Roysie. Jak nigdy żałowała teraz, że nie ma go przy niej.

– Genevieve, nie! – krzyknęła Sheila.

Genevieve puściła się biegiem ku nadjeżdżającym mężczyznom z uniesionym wysoko sierpem, czując krążącą w niej adrenalinę. Nie wiedziała, jakim sposobem zebrała w sobie tę odwagę, lecz udało jej się to. Biegnąc naprzód, zamachnęła się sierpem i cięła w dół w pierwszego z możnowładców, który jechał w jej kierunku.

Mężczyźni byli jednak zbyt szybcy. Zjawili się niczym grom i gdy Genevieve zamachnęła się, jeden z nich jedynie uniósł pałkę, zatoczył nią koło i wytrącił jej sierp z dłoni. Dziewczyna poczuła, że dłonie zadrżały jej mocno i patrzyła bezsilnie, jak broń leci w powietrzu i wpada w pobliski łąn zboża.

Po chwili Manfor przejeżdżając obok niej galopem nachylił się i dzielił ją w twarz wierzchnią stroną metalowej rękawicy.

Genevieve krzyknęła, zatoczyła się od siły ciosu i wpadła twarzą w łąny, ukłuta przeszywającym bólem.

Konie zatrzymały się raptownie i gdy jeźdźcy zeskoczyli z nich, Genevieve poczuła na sobie czyjeś szorstkie ręce. Szarpnięciem postawili ją na nogi, otumanioną ciosem.

Stanęła przy nich chwiejnie, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła przed sobą Manfora. Uśmiechnął się szyderczo, unosząc zasłonę hełmu i zdejmując go.

– Puśćcie mnie! – syknęła. – Nie jestem waszą własnością!

Usłyszała krzyki i obejrzawszy się zobaczyła, jak jej siostry i kuzynki rzucają się naprzód, próbując ją uratować – i patrzyła z przerażeniem, jak rycerze wymierzają ciosy rękawicami każdej z nich, aż upadły na ziemię.

Genevieve usłyszała paskudny śmiech Manfora, który złapał ją, wrzucił na grzbiet swego wierzchowca i skrzepował jej ręce. Po chwili dosiadł konia za nią, kopnął go i ruszył przed siebie.

Odjeżdżali coraz dalej i dalej i Genevieve słyszała za sobą piski dziewcząt. Próbowала się szarpać, lecz była bezradna, gdyż mężczyzna trzymał ją niby w imadle.

– Jakże się mylisz, dziewczko – odrzekł ze śmiechem, jadąc dalej. – Jesteś moja.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Royce stał pośród łąnów pszenicy, tnąc sierpem. Serce miał pełne radości, gdy myślał o swej wybrance. Ledwie był w stanie uwierzyć, że nadszedł dzień jego zaślubin. Kochał Genevieve odkąd sięgał pamięcią i żaden dzień nie mógł się równać z dzisiejszym. Nazajutrz obudzi się u jej boku w ich własnej chacie i rozpoczną nowe życie. Czuł przyjemny ucisk w dołku. Niczego nie pragnął bardziej.

Zamachując się sierpem, Royce myślał o swych nocnych ćwiczeniach z braćmi. We czterech ćwiczyli się bez ustanku drewnianymi mieczami, a czasem i prawdziwymi – dodatkowo obciążonymi, których niemal nie dało się podnieść – by nabrać siły i prędkości. Choć był młodszy od swych trzech braci, Royce rozumiał, że już teraz jest lepszym wojownikiem niż oni, zręczniejszym władał mieczem, szybciej zadaje ciosy i broni. Wiedział, że jest inny. Nie wiedział jednak, w jaki sposób. I to nie dawało mu spokoju.

Skąd – zastanawiał się – wzięła się ta zręczność w boju? Dlaczego tak bardzo różnił się od nich? Nie miało to zbyt wiele sensu. Byli braćmi, zrodzonymi z tej samej krwi, tej samej rodziny. Byli nierozłączni, wszystko robili razem, czy to ćwiczyli się w walce, czy pracowali w polu. Jedynie to rzucało cień niepokoju na ten radosny dzień: czy gdy się wyprowadzi, oddalą się od siebie? Po cichu przyrzekł sobie, że bez względu na wszystko nie pozwoli, by tak się stało.

Zadumę Royce'a przerwał nagły hałas na obrzeżach pola, niezwykle odgłos o tej porze dnia, odgłos, którego nie chciał słyszeć w tak doskonały dzień jak ten. Konie. Pędzące ku nim.

Royce odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę, z miejsca zaniepokojony, jego bracia także. Jego niepokój jedynie pogłębił się, gdy ujrzał, że w jego stronę jadą siostry i kuzynki Genevieve. Nawet stąd Royce widział, że na ich twarzach maluje się panika, niepokój.

Royce'owi trudno przychodziło zrozumienie tego, co widział. Gdzie jest Genevieve? Dlaczego dziewczęta jadą w jego stronę?

I wtedy serce mu zamarło, gdyż zdał sobie sprawę, że najwyraźniej stało się coś bardzo złego.

Wypuścił z dłoni sierp, podobnie jak jego bracia i tuzin innych chłopów z ich wsi, i ruszył biegiem w ich kierunku. Pierwsza dotarła do niego Sheila, siostra Genevieve. Zeskoczyła ze swego wierzchowca, nim ten się zatrzymał, i chwyciła Royce'a za ramiona.

– Co się stało? – zawołał Royce. Chwycił ją za ramiona i poczuł, że dziewczyna się trzęsie.

Ledwie była w stanie wyrzec cokolwiek przez łzy.

– Genevieve! – zawołała z przerażeniem w głosie. – Zabrali ją!

Royce poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, gdy usłyszał jej słowa. Przez myśl przechodziły mu najgorsze scenariusze.

– Kto? – zapytał, gdy podbiegli do niego jego bracia.

– Manfor – krzyknęła. – z rodu Norsów!

Royce poczuł, jak serce tłucze mu się w piersi i wzbiera w nim oburzenie. Jego oblubienica. Zabrana przez możnowładców, jak gdyby była ich własnością. Twarz zapłonęła mu ze złości.

– Kiedy?! – zapytał, ściskając ramiona Sheili mocniej, niż zamierzał.

– Przed chwilą! – odrzekła. – Wzięłyśmy te konie, by jak najszybciej cię o tym powiadomić!

Pozostałe dziewczęta zsiadły z koni i przekazały wodze Royce'owi i jego braciom. Royce nie wahał się. Szybkim ruchem dosiadł konia, kopnął i pędził już przez pola.

Usłyszał, że jego bracia także jadą za nim i żaden nie zwalnia. Mknęli przez łąny w kierunku odległego fortu.

Jego najstarszy brat, Raymond, zrównał się z nim.

– Wiesz, że prawo stoi po jego stronie – zawołał. – Jest możnowładcą, a ona nie została zaślubiona – przynajmniej jeszcze nie.

Royce skinął głową w odpowiedzi.

– Jeśli wdrzemy się do fortu i poprosimy, by ją nam wydali, odmówią – dodał Raymond. – Prawo nie stoi po naszej stronie, nie możemy żądać jej powrotu.

Royce zacisnął zęby.

– Nie będę prosił, by ją wydali – odrzekł. – Odbiorę im ją.

Lofen pokręcił głową, zrównując się z nimi.

– Nie uda ci się minąć bram – zawołał. – Czekam na ciebie zawodowa armia. Rycerze. Zbroje. Oręż. Bramy – ponownie pokręcił głową. – A jeśli nawet zdołasz jakimś sposobem je minąć, jeśli zdołasz ją uratować, nie oddadzą jej. Dogonią cię i ukatrupią.

– Wiem – odkrzyknął Royce.

– Bracie mój – zawołał Garet. – Kocham cię. I kocham Genevieve. Lecz to będzie oznaczało twoją śmierć. Śmierć nas wszystkich. Pozwól jej odejść. Nie możesz temu zaradzić.

Royce słyszał, jak wielką troską jego bracia go darzą i był im za nią wdzięczny – lecz nie mógł sobie pozwolić na to, by ich usłuchać. To była *jego* oblubienica i bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić, nie miał wyjścia. Nie mógł jej porzucić, choćby miało to oznaczać jego śmierć. Musiał tak postąpić.

Royce pogonił konia kopniakiem, nie chcąc już ich słuchać, i pogalopował szybciej przez pola w kierunku widnokręgu, ku rozległemu grodowi, w którym stał fort Manfora. Ku temu, co z pewnością zakończy się jego śmiercią.

Genevieve, pomyślał Royce. Jadę po ciebie.

*

Royce pędził co koń wyskoczy przez pola z trzema swymi braćmi u boku. Wspiął się na ostatni pagórek, po czym ruszył z kopyta ku rozległemu grodowi, który leżał w dole. Pośrodku niego stał masywny fort, siedziba rodu Norsów, możnowładców, którzy sprawowali rządy nad jego krainą żelazną ręką, którzy odebrali jego rodzinie wszystko, żądając kolejnych dziesięcin wszystkiego, co uprawiali. Od wielu pokoleń udawało im się utrzymywać wieśniaków w stanie ubóstwa. Oni sami mieli do dyspozycji tuziny rycerzy w pełnych zbrojach, z prawdziwym orężem i na prawdziwych koniach; mieli grube, kamienne mury, fosę, most i trzymali straż nad grodem niczym zazdrosna kwoka, udając, że utrzymują w nim prawo i porządek – lecz tak naprawdę chodziło jedynie o to, by odebrać wszystko jego mieszkańcom.

To *oni* stanowili prawo. Oni wprowadzali w życie okrutne prawa, które przekazywane były wszystkim możnowładcom w całej krainie, prawa, które niosły korzyści jedynie *im*. Działali pod pozorem zapewnienia ochrony, lecz wszyscy wieśniacy wiedzieli, że potrzebują ochrony jedynie przed samymi możnowładcami. Królestwo Sevanii było wszak bezpiecznym miejscem, z trzech stron oddzielonym od innych krain wodą, położonym na północnym krańcu kontynentu Alufen. Wielki ocean, rzeki i góry zapewniały bezpieczne schronienie. Od wieków nikt nie najechał ich ziem.

Jedyne niebezpieczeństwo i tyrania groziły im od wewnątrz, ze strony możnowładców i tego, co zabierali biednym. Takim jak Royce. Teraz nie wystarczyły im już bogactwa – musieli mieć także ich żony.

Ta myśl sprawiła, że Royce zawrzał w środku. Pochylił się i zebrał siły, zaciskając dłoń na mieczu.

– Most jest opuszczony! – zawołał Raymond. – a brona uniesiona!

Royce także to zauważył i wziął to za zachętę.

– To oczywiste! – odkrzyknął Lofen. – Naprawdę sądzisz, że spodziewają się ataku? A już zwłaszcza z naszej strony?

Royce przyspieszył, wdzięczny braciom za ich towarzystwo, wiedząc, że wszyscy – jak on – darzą Genevieve miłością. Była im siostrą i zniewagą wobec Royce’a była zniewagą wobec ich wszystkich. Spojrzał przed siebie i spostrzegł kilku rycerzy z zamku na moście zwodzonym, bez

przekonania obserwujących pastwiska i pola dokoła grodu. Nie byli przygotowani. Nikt nie atakował ich od stuleci i nie mieli powodu, by spodziewać się, że teraz będzie inaczej.

Royce dobył miecza z charakterystycznym świstem, pochylił głowę i uniósł go. Szczęk mieczy poniosł się w powietrzu, gdy jego bracia także dobyli broni. Royce pogonił konia kopniakiem, by jechać na czele, chcąc być pierwszym w boju. Serce waliło mu z podniecenia i strachu – strachu nie o siebie, lecz o Genevieve.

– Wjadę do środka, odnajdę ją i wydostanę się na zewnątrz! – zawołał Royce do braci, obmyślając plan. – Wy pozostaniecie za murami. To moja walka.

– Nie pozwolimy ci wjechać do środka samemu! – odkrzyknął Gareth.

Royce pokręcił głową, niewzruszony.

– Nie chcę, byście ponieśli konsekwencje, jeśli coś pójdzie nie tak – krzyknął. – Zostańcie tutaj i odwróćcie uwagę wartowników. W ten sposób przysłużycie mi się najlepiej.

Wskazał mieczem tuzin rycerzy stojących przy stróżówce przy fosie. Royce wiedział, że gdy tylko przekroczy most, rzucą się za nim; lecz jeśli jego bracia odwrócą ich uwagę, być może zajmie ich to na wystarczająco długo, by Royce mógł znaleźć się w środku i odnaleźć ją. Uznał, że potrzebuje jedynie kilku minut. Gdyby zdołał szybko ją znaleźć, mógłby ją odbić i odjechać z dala od tego miejsca. Nie chciał nikogo zabijać, jeśli nie będzie to konieczne; nie chciał nawet wyrządzać im krzywdy. Chciał jedynie odzyskać swą oblubienicę.

Royce pochylił się i galopował tak szybko, jak tylko mógł, tak szybko, że ledwie był w stanie oddychać, a wiatr targał mu włosy i chłostał twarz. Zbliżył się do mostu i był już trzydzieści jardów od niego, dwadzieścia, dziesięć. Słyszał stukot końskich kopyt i bicie własnego serca, które tłukło mu się w piersi, gdy zrozumiał, na jak szalony czyn się porywał. Zamierzał zrobić to, co chłopu nigdy nawet nie przyszłoby na myśl: zaatakować szlachtę. Była to wojna, w której nie miał szans zwyciężyć i pewny sposób, by zginąć. Jego oblubienica była jednak za tymi bramami i to mu wystarczyło.

Royce był już niezwykle blisko, ledwie kilka jardów od mostu. Podniósł wzrok i ujrzał, że rycerze otwierają szeroko oczy ze zdumienia, szarpiąc się z bronią, zbici z tropu, wyraźnie nie spodziewając się czegoś takiego.

Ich spóźniona reakcja była dokładnie tym, czego Royce potrzebował. Popędził naprzód, a gdy unieśli halabardy, on opuścił miecz i, mierząc w drzewce, przeciął je na dwoje. Ciął z jednej strony w drugą, niszcząc oręż rycerzy po obu stronach mostu, ostrożnie, by nie zadać im krzywdy, jeśli nie będzie to konieczne. Chciał jedynie rozbroić ich, a nie spowalniać się walką.

Royce przyspieszył, ponaglaając swego wierzchowca, i jechał jeszcze szybciej, używając swego konia jak broni, uderzając w pozostałych wartowników wystarczająco mocno, by posłać ich w ich ciężkich zbrojach za wąski most, do wody w fosie. Royce zorientował się, że minie dłuższa chwila, nim zdołają się stamtąd wydostać. Właśnie tyle czasu potrzebował.

Royce usłyszał za plecami, jak jego bracia pomagają mu; po drugiej stronie mostu zmierzali ku stróżówce, tnąc w wartowników, pozbawiając ich broni, nim zdołali się zebrać. Zagrodzili i zaryglowali stróżówkę, nie pozwalając strażnikom wyjść ze zdumienia i osłaniając Royce'a.

Royce pochylił się i pędził ku otwartej bronie, i przyspieszył, kiedy spostrzegł, że zaczyna się zamykać. Pochylił się i zdołał wpaść przez otwarty łuk tuż przed tym, jak ciężka krata opadła na dobre.

Wjechał na wewnętrzny dziedziniec z mocno tłukącym się w piersi sercem i ocenił sytuację, rozglądając się wokoło. Nigdy wcześniej nie był w środku i był skołowany, gdy znalazł się pomiędzy grubymi kamiennymi murami, wysokimi na kilka pięter. Słudzy i prości ludzie chodzili to w jedną, to w drugą stronę, nosząc cebry z wodą i wszelakie towary. Szczęśliwie w środku nie napotkał żadnych rycerzy. Rzecz jasna, nie mieli powodu, by spodziewać się ataku.

Royce rozejrzał się uważnie po murach, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek śladu swej oblubienicy.

Nic jednak nie dostrzegł. Ogarnęła go nagła panika. Co jeśli zabrali ją w inne miejsce?

– GENEVIEVE! – krzyknął.

Royce wypatrywał jej wszędzie, gorączkowo obracając się na rżącym koniu. Nie miał pojęcia, gdzie jej szukać, ani żadnego planu. Nie sądził nawet, że uda mu się dotrzeć tak daleko.

Royce wyteżał umysł, musiał prędko obmyślić jakiś plan. Moźnowładcy najpewniej żyli na górnych piętrach – pomyślał – z dala od odoru, od ciżby, gdzie wieje silny wiatr i mocno świeci słońce. To oczywiste, że właśnie tam zabraliby Genevieve.

Ta myśl wzbudziła w nim gniew.

Trzymając swe emocje na wodzy, Royce spiął konia i ruszył galopem przez dziedziniec, mijając zaszokowanych służących, którzy zatrzymywali się i gapili na niego, zarzucając swą robotę, gdy ich mijał. Po przeciwnej stronie placu spostrzegł szerokie, kręte schody i podjechał aż do nich. Zeskoczył ze swego wierzchowca, nim ten zdołał się zatrzymać, i puścił się od razu biegiem po schodach. Zakręcał raz po raz, pokonując kolejne piętra. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza, lecz postanowił zacząć od góry.

Stał wreszcie na najwyższym piętrze, dysząc ciężko.

– Genevieve! – krzyknął z nadzieją, modląc się o odpowiedź.

Ta jednak nie nadeszła. Jego przerażenie pogłębiło się.

Skręcił w jeden z korytarzy i ruszył biegiem, modląc się, by był to ten właściwy. Gdy przebiegał obok jednych z drzwi, te nagle otworzyły się i jakiś mężczyzna wystawił głowę na zewnątrz. Był to jeden z moźnowładców, niski, gruby człowiek o szerokim nosie i rzędnych włosach.

Obrzucił Royce’a gniewnym spojrzeniem, wyraźnie rozpoznając po jego odzieniu, że jest chłopcem; zmarszczył nos, jak gdyby coś nieprzyjemnego znalazło się w jego otoczeniu.

– Ty! – krzyknął. – Co robisz w naszym...

Royce nie zawahał się. Gdy oburzony moźnowładca przyskoczył do niego, chłopak uderzył go w twarz, powalając na plecy.

Royce zajrzał szybko za otwarte drzwi z nadzieją, że ją spostrzeże. Nikogo tam jednak nie było. Biegł dalej.

– GENEVIEVE! – krzyknął Royce.

Wtem w odpowiedzi dobiegł go krzyk z oddali.

Serce mu zamarło, stanął w miejscu i nasłuchiwał, zastanawiając się, skąd dobiegł ten głos. Świadomy tego, że jego czas jest ograniczony, że niebawem cała armia będzie go ścigała, biegł dalej, a serce tłukło mu się w piersi, gdy raz po raz wołał jej imię.

Ponownie rozległ się stłumiony krzyk i Royce wiedział, że to ona. Serce waliło mu jak młotem. Była tutaj. A on był coraz bliżej niej.

Royce dotarł wreszcie do końca korytarza, a wtedy z ostatniego pomieszczenia po lewej stronie dobiegł pisk. Nie zawahał się, naparł ramieniem i otworzył pradawne dębowe drzwi.

Drzwi ustąpiły i Royce wpadł do środka. Stał w urządzonych z przepychem komnacie, długiej i szerokiej na trzydzieści stóp, o strzelistym stropie, wykutych w kamiennych ścianach oknach, masywnym palenisku i stojącym pośrodku ogromnym, komfortowym łóżu z baldachimem, niepodobnym do niczego, co Royce kiedykolwiek widział. Odetchnął z ulgą, gdy pośród stosu futer ujrzał swą ukochaną, Genevieve.

Była – jak spostrzegł z ulgą – w pełni odziana. Szarpała się i kopała, a Manfor próbował objąć ją od tyłu. W Roysie zawrzało. Obląpał jego oblubienicę, usiłując zderzyć z niej odzienie. Royce uradował się, że przybył na czas.

Genevieve szarpała się, dzielnie próbując zrzucić go z siebie, lecz Manfor był zbyt silny.

Royce rzucił się do działania bez chwili wahania. Ruszył naprzód i skoczył dokładnie w chwili, gdy Manfor obrócił się i spojrzał na niego. Mężczyzna otworzył oczy szeroko ze zdumienia, a Royce chwycił go za koszulę i pchnął.

Manfor przeleciał przez komnatę i upadł na posadzkę z jękiem.

– Royce! – krzyknęła Genevieve, obracając się w jego kierunku. W jej głosie wyczuł ulgę.

Royce wiedział, że nie może pozwolić mu na to, by odzyskał siły. Gdy mężczyzna próbował się podnieść, Royce wskoczył na niego, przyciskając go do ziemi. Owładnięty gniewem przez to, co zrobił jego oblubienicy, cofnął zaciśniętą w pięść dłoń i wałnął Manfora mocno w szczękę.

Ten podniósł się jednak, usiadł i sięgnął po sztylet. Royce wyrwał mu go z dłoni i bił raz za razem. Manfor upadł na ziemię, a Royce wytrącił sztylet daleko, tak, że prześlizgnął się po ziemi.

Royce nie puszczał Manfora, a ten uśmiechnął się szyderczo, jak zawsze bezczelny, patrząc na niego z wyższością.

– Prawo stoi po mojej stronie – wycodził przez zęby. – Mogę wziąć kogo tylko mi się podoba. Dziewka jest moja.

Royce spojrzał na niego gniewnie.

– Nie możesz wziąć mojej oblubienicy.

– Jesteś szaleńcem – odparł Manfor. – *Szaleńcem*. Zginiesz, nim dzień się skończy. Nigdzie się nie skryjesz. Czy nie wiesz o tym? To królestwo należy do nas.

Royce pokręcił głową.

– Nie rozumiesz – powiedział. – że nic a nic nie dbam o to.

Manfor zmarszczył brwi.

– Nie ujdzie ci to na sucho – rzekł. – Dopilnuję tego.

Royce ścisnął mocniej nadgarstki Manfora.

– Nic podobnego. Genevieve i ja odejdziemy stąd dzisiaj. Jeśli po nią przyjdiesz, ukatrupię cię.

Ku zaskoczeniu Royce’a na twarzy Manfora wykwitł okrutny uśmiech. Z ust sączyła mu się krew.

– *Nigdy* nie dam jej żyć w spokoju – odrzekł Manfor. – *Przenigdy*. Będę dręczył ją do końca jej dni. A ciebie wytropię jak psa wraz z ludźmi mego ojca. Wezmę ją i będzie moja. A ty zawisniesz na szubienicy. Uciekaj więc i zapamiętaj jej twarzyczkę – gdyż niebawem będzie moja.

Royce poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Gorsze od tych okrutnych słów było to, że Royce wiedział, że to prawda. Nie mieli dokąd uciec; możnowładcy sprawowali rządy nad tym królestwem. Nie mógł stanąć do boju z całą armią. A Manfor w rzeczy samej nigdy by się nie poddał. Dla okrutnej rozrywki – nie z innego powodu. Posiadał tak wiele, a jednak nie mógł powstrzymać się przed ograbianiem ludzi, którzy nie mieli nic.

Royce spojrzał w oczy tego okrutnego możnowładcy i wiedział, że jednego dnia ten mężczyzna posiadzie Genevieve. I wiedział, że nie może na to pozwolić. Pragnął odejść, naprawę tego pragnął. Lecz nie potrafił. Oznaczałoby to śmierć Genevieve.

Royce nagle chwycił Manfora i postawił go na nogi silnym szarpnięciem. Stanął przed nim i dobył miecza.

– Walcz! – rozkazał Royce, dając mu szansę, by walczył honorowo.

Manfor patrzył na niego, wyraźnie zaskoczony, że ofiarowano mu tę szansę. Dobył swego miecza.

Manfor natarł, uderzając mocno w dół, a Royce uniósł miecz i zablokował cios, aż posypały się iskry. Wyczuwając, że jest silniejszy od swego przeciwnika, Royce uniósł miecz i odepchnął Manfora w tył, po czym zamachnął się i zdzielił go w nos rękojeścią.

Rozległ się chrzęst. Royce złamał Manforowi nos. Mężczyzna zatoczył się w tył i utkwiał w nim wyraźnie zaskoczone spojrzenie, trzymając się za nos. Royce mógłby wykorzystać tę chwilę i go zabić, lecz po raz kolejny dał mu drugą szansę.

– Poddać się teraz – zasugerował Royce. – a pozwolę ci żyć.

Manfor jednak wydał z siebie jęk wściekłości. Uniósł miecz i natarł ponownie.

Royce parował, a Manfor zapamiętałe ciął mieczem. Obaj zadawali ciosy, rozlegał się szczęk mieczy i syptały się iskry, przepychali się to w jedną, to w drugą stronę. Manfor może i był możnowładcą, wychowanym z wszelakimi przywilejami przysługującymi szlacheckiej klasie, lecz to Royce obdarzony był większą zręcznością z mieczem.

Gdy tak walczyli, Royce'owi zamarło serce, gdy w oddali usłyszał rogi, usłyszał odgłos armii zbliżającej się do zamku, tętent końskich kopyt na bruku w dole. Wiedział, że kończy mu się czas. Musiał szybko coś zrobić.

Wreszcie Royce odwiódł miecz Manfora ostro wokoło i wytrącił mu go z ręki, posyłając broń w powietrze przez komnatę. Przyłożył kraniec ostrza do jego gardła.

– Poddaj się teraz – rozkazał Royce.

Manfor powoli cofnął się z uniesionymi rękoma. Jednak gdy doszedł do niewielkiego drewnianego sekretarzyka, obrócił się raptownie, chwycił coś i cisnął tym Royce'owi w oczy.

Oślepiiony nagle Royce krzyknął. Szczypały go oczy, a wszystko wokoło okryło się czernią i gdy pocierał powieki zorientował się, co to było: atrament. Było to nieczyste zagranie, zagranie niegodne możnowładcy ani żadnego wojownika. Royce wiedział jednak, że nie powinien być zaskoczony.

Nim zdołał odzyskać wzrok, Royce poczuł nagle silny cios w brzuch. Manfor kopnął go i młodzieniec przewrócił się na ziemię, pozbawiony tchu, a gdy podniósł wzrok, zdołał już dojrzeć, jak Manfor uśmiecha się i wyciąga ukryty w pelerynie sztylet – i unosi go nad jego plecami.

– ROYCE! – krzyknęła Genevieve.

Gdy sztylet zbliżał się do jego pleców, Royce zdołał zebrać siły. Podniósł się na jedno kolano, uniósł rękę i chwycił Manfora za przegub dłoni. Royce wstał powoli, ręce mu się trzęsły. Gdy Manfor dalej naciskał na sztylet, Royce nagle odsunął się na bok i wykręcił mu rękę, używając przeciw niemu jego własnej siły. Manfor nie przestał się jednak zamachiwać, nie zamierzał się zatrzymać i tym razem, gdy Royce odsunął się na bok, zatopił sztylet w swym własnym brzuchu.

Manfor wciągnął gwałtownie powietrze. Stał przed nim, wgapiając się w niego szeroko otwartymi oczyma, a z ust pociekła mu strużka krwi. Konał.

Royce odczuł powagę sytuacji. Uśmiercił człowieka. Po raz pierwszy w życiu uśmiercił człowieka. I to nie kogoś zwyczajnego – a możnowładcę.

Ostatnim grymasem Manfora był okrutny uśmiech. Z jego ust broczyła krew.

– Odzyskałeś swą oblubienicę – jęknął. – za cenę swego życia. Już niebawem do mnie dołączysz.

Z tymi słowy Manfor osunął się na ziemię z głuchym hukiem.

Był martwy.

Royce obrócił się i spojrzał na Genevieve, która siedziała na łożu oszołomiona. Widział ulgę i wdzięczność malujące się na jej twarzy. Zeskoczyła z łoża, przebiegła przez komnatę i wpadła prosto w jego objęcia. Przytulił ją mocno i uczucie to było niezwykle przyjemne. Wszystko było znów tak, jak być powinno.

– Och, Royce – powiedziała mu do ucha i nie musiała mówić nic więcej. Rozumiał ją.

– Chodź, musimy iść – rzekł Royce. – Nie mamy wiele czasu.

Ujął jej dłoń i wypadli przez otwarte drzwi komnaty na korytarz.

Royce puścił się biegiem z Genevieve u boku. Serce waliło mu jak oszalałe, gdy usłyszał dźwięki królewskich rogów, rozbrzmiewających raz za razem. Wiedział, że oznaczają wezwanie – i wiedział, że to jego szukają.

Słyszając szcęk zbroi w dole, Royce wiedział, że wyjście z fortu zostało zagrodzone i że został otoczony. Jego bracia spisali się znakomicie, odwracając ich uwagę, lecz wyprawa Royce'a trwała zbyt długo. Biegli dalej i gdy Royce zerknął w dół na dziedziniec, serce mu zamarło na widok tuzinów rycerzy napływających przez bramę.

Royce wiedział, że nie ma wyjścia. Nie tylko wdarł się do ich siedziby, lecz także zabił jednego z nich, możnowładcę, członka królewskiego rodu. Wiedział, że nie pozostawia go przy życiu. Ten dzień będzie dniem, w którym jego życie zmieni się na zawsze. Cóż za ironia, pomyślał; tego ranka przebudził się pełen radości, nie mogąc doczekać się dnia. A teraz, nim słońce zajdzie, najpewniej trafi na szubienicę.

Royce i Genevieve biegli, zbliżając się do końca korytarza i do zejścia na kręte schody – gdy nagle pojawiło się przed nimi pół tuzina rycerzy. Wyłonili się ze stopni, zagrządzając im drogę.

Royce i Genevieve zatrzymali się w miejscu, obrócili i ruszyli w przeciwną stronę. Rycerze biegli za nimi. Royce słyszał brzęk ich zbroi za plecami i wiedział, że jedynie brak zbroi działa na jego korzyść i jedynie dzięki temu mężczyźni nie są w stanie ich dogonić.

Biegli krętymi korytarzami, a Royce rozpaczliwie szukał tylnych schodów, innego wyjścia – gdy nagle skręcili w kolejny korytarz i stanęli przed kamienną ścianą. Royce’owi zamarło serce, gdy zatrzymali się raptownie.

Nie było tam przejścia.

Royce obrócił się i dobył miecza, jednocześnie zasłaniając Genevieve, gotów zmierzyć się z rycerzami, choć wiedział, że będzie to jego ostatnia walka.

Nagle poczuł, że Genevieve gorączkowo ściska go za ramię:

– Royce! – krzyknęła.

Odrzucił się i spostrzegł, na co patrzyła: wielkie, otwarte okno obok nich. Wyjrzał za nie i serce podeszło mu do gardła. Wysokość była zbyt duża, zdecydowanie zbyt duża, by mogli przeżyć upadek.

Ujrzał jednak, że wskazuje palcem wóz z sianem toczący się pod nimi.

– Możemy wyskoczyć! – krzyknęła.

Ujął jej dłoń i razem dali krok w stronę okna. Royce obrócił się za siebie, ujrzał zbliżających się rycerzy i nagle, nim zdążył pomyśleć, jak szalony jest ten pomysł, poczuł, że Genevieve szarpie go za rękę – i spadają w powietrzu.

Genevieve była odważniejsza jeszcze niż on. Royce wspomniał sobie, że zawsze tak było, nawet gdy byli dziećmi.

Wyskoczyli i spadali dobre trzydzieści stóp. Royce’owi serce podeszło do gardła, a Genevieve krzyczała. Starali się upaść na wóz. Royce gotował się na śmierć i był wdzięczny, że przynajmniej nie zginie z ręki możnowładców – i ze swą ukochaną u boku.

Ku niebywalej uldze Royce’a, wpadli w stóg siana. Żdźbła podniosły się w ogromnej chmurze dokoła nich i choć pozbawiony tchu i poobijany po upadku, Royce ze zdumieniem spostrzegł, że nic sobie nie złamał. Usiadł natychmiast i rozejrzał się, by zobaczyć, czy Genevieve nic nie jest; leżała oszołomiona, lecz także usiadła i gdy odrzuciła siano, Royce spostrzegł z nieopisaną ulgą, że jej także nic się nie stało.

Bez słowa oboje w tym samym czasie przypomnieli sobie, w jakiej sytuacji się znajdują i zeskoczyli z wozu. Royce chwycił dziewczynę za rękę i podbiegł do swego wierzchowca, który wciąż czekał na niego na dziedzińcu, dosiadł go, chwycił Genevieve i pomógł jej wsiąść za sobą. Pogonił konia kopniakiem i ruszyli galopem przed siebie. Royce pędził ku otwartej bramie zamku, a rycerze wciąż napływali, pędzili obok nich, nawet nie zdając sobie sprawy, kogo mijają.

Zbliżyli się do otwartej bramy, a Royce’owi serce tłukło się w piersi; byli już tak blisko. Musieli jedynie pokonać dzielącą ich od niej odległość i po kilku susach znajdą się na otwartej przestrzeni. Tam będą mogli zebrać się z jego braćmi, kuzynami i ziomkami z wioski i razem zbiec z tego miejsca i zacząć życie od nowa gdzie indziej. Albo lepiej jeszcze, będą mogli zebrać własną armię i stanąć do boju z możnowładcami raz na zawsze. Przez jedną wspaniałą chwilę czas stanął w miejscu, gdy Royce poczuł, że znajduje się na skraju zmian, na skraju zwycięstwa. Wszystko, co znał, miało wywrócić się do góry nogami. Nadszedł dzień buntu. Dzień, po którym ich życie nigdy nie będzie już wyglądać tak samo.

Royce zbliżał się do bramy i przerażenie ścięło mu krew w żyłach, gdy brona, otwarta, by wpuścić rycerzy, nagle zaczęła opadać, zatraskując się tuż przed nim. Jego koń stanął dęba i zatrzymali się w miejscu.

Royce zawrócił, patrząc po dziedzińcu. Zobaczył pięćdziesięciu rycerzy, którzy w tej chwili zorientowali się, kim są i zmierzali w ich kierunku. Royce gotował się do jazdy w przód i zetknięcia

się z nimi w boju, choć było to ryzykowne, gdy nagle poczuł, że od tyłu spada na niego jakiś sznur i usłyszał krzyk Genevieve.

Sznur zacisnął się wokoło jego pasa i ktoś szarpnął nim, a Royce poczuł, że spada w tył ze swego konia. Upadł na twardą ziemię, pozbawiony tchu, skrępowany sznurem od tyłu. Obejrzał się i ujrzał, że Genevieve także jest związana i leży na ziemi.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.